Rok II. Kwiecień 1929. Nr. 3—4.



Dunajec w okowach lodu. Fot. Wł. Miedniak.

NA·TROPIE

PISMO · MŁODZIEŻY · POLSKIEJ

Hasło dnia dzisiejszego!

Zdrowie jednostki jest jej skarbem, ale też jest cząstką bogactwa ogółu.

Człowiek dbać powinien o swe zdrowie. Pamiętać, jednak musi, że żyje w otoczeniu innych ludzi i wystrzegać się powinien wszystkiego, co stačby się mogło źródłem choroby, co mogłoby zaszkodzić zdrowiu otoczenia.

Zasada ta w naszem społeczeństwie nie jest jeszcze należycie zrozumianą, warunki zdrowotne naszego bytowania są jeszcze bardzo dalekie nietylko od postulatów, stawianych przez naukę, ale i od tego, co może być zrealizowane.

Dlatego też sądzę, że będzie dobrze jeżeli w gronach młodzieży teraz właśnie — na przełomie zimy i wiosny — omówimy tę sprawę, wyciągniemy wskazania, które nam łatwo będzie w czyn wcielić przez wiosnę i lato, a wdrożywszy się w przestrzeganie pewnych zasad, przywykniemy do ich stosowania.

Myśl poruszenia na tem miejscu sprawy zdrowotności nasunęła mi pogłoska, przyniesiona niedawno przez dzienniki. Podobno w sferach rządowych rozważano projekt wprowadzenia w całem państwie przymusu kąpania się przynajmniej raz na miesiąc. Niedwuznacznie wskazywano na Pana Ministra Spraw Wewnętrznych, jako na inicjatora tego projektu.

Nie mam zamiaru rozważać tutaj słuszności tego pomysłu, możliwości wprowadzenia go w życie. Potraktowano go nieco humorystycznie, choć każdy przyznał, że warunki naszego życia tak się ułożyły, że wiele setek tysięcy obywateli używa znacznie mniej mydła, niżby to było potrzebnem dla ich zdrowia i dla zdrowia ich otoczenia.

Chcę zwrócić uwagę naszych drużyn, kół, wszystkich gromad młodzieży na ważną sprawę zdrowotności.

Ochrona przyrody — to druga dziedzina, w tej chwili aktualna.

Powrócimy do niej nieraz jeszcze. Jeśli jednak chcecie zrobić dużo dobrego i przysłużyć się pięknej idei — to ptakom, którym coraz trudniej o schronienie, budujcie skrzynki. Czas je zawieszać do końca kwietnia!

Czy wiecie?

POLSKA A OBCY.

— Ignacy Paderewski koncertował w dziesięciu większych miastach Francji i w Paryżu. Dochód przeznaczony był na fundusz wdów i sierót po poległych.

— Z okazji 150-letniej rocznicy śmierci K. Pułaskiego Parlament Stanów Zjednoczonych powziął rezolucję zorganizowania specjalnych uroczystości.

— Infantka hiszpańska Izabela Alfonsyna wyszła zamąż za hr. Zamoyskiego. Ślub odbył się w kaplicy królewskiej w Madrycie w obecności pary królewskiej. Młoda para ma przybyć do Polski na stały pobyt.

— Wiedeńska radjostacja nadała fultografem portret Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, w stroju narciarskim na tle Tatr.

Z CAŁEJ POLSKI.

— Min. Robót Publicznych projektuje wprowadzenie szos asfaltowych na najbardziej ruchliwych odcinkach dróg, przedewszystkiem między Warszawą a Łodzią.

— Do Polski ma przybyć dwu dyrektorów zakładów Forda w sprawie założenia w Polsce olbrzymiej fabryki samochodów, przeznaczonych na Polskę i Wsch. Europę, oraz równoczesnego zorganizowania instytucji kredytowej celem sprzedaży samochodów na raty.

— Wniosek, potępiający pojedynki, zgłoszony na Walnem Zebraniu Bratniej Pomocy Uniwersytetu Warsz., został obalony głosami „Młodzieży Wszechpolskiej" i Związku Korporacyj Akademickich i w ten sposób akcja, wykluczająca pojedynki z życia akademickiego, nie odniosła tak bardzo pożądanych rezultatów.

— Prof. Dr. Rozwadowski złożył godność prezesa Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, w jego miejsce wybranym został prof. Kazim. Kostanecki, profesor anatomji porównawczej na Uniw. Jagiellońskim.

— W r. b. upływa 350-letnia rocznica założenia uniwersytetu wileńskiego. Od r. 1830 do 1919 uniwersytet był zamknięty. Obecnie posiada sześć tysięcy słuchaczy.

— Lotnicy polscy, kpt. Kowalczyk i pilot Klisz, przygotowujący się do lotu transatlantyckiego przejęli samolot wykonany przez zakłady Caproni i rozpoczęli próbne loty na lotnisku Vincoli pod Medjolanem.

Z ZAGRANICY.

— Czerwcowa sesja Rady Ligi Nar. odbędzie się najprawdopodobniej w Madrycie.

— W Hiszpanji wśród studentów uniwersytetów wybuchł ruch, skierowany przeciw niepopularnemu dyktatorowi, gen. Primo de Riverze. Sześć wyższych uczelni zamknięto.

— Times, organ konserwatystów ang., zamieścił wyczerpujący artykuł o Górnym Śląsku i poddał krytyce działalność politycznych organizacyj niemieckich, które zmuszają robotników polskich do posyłania dzieci do szkół mniejszościowych.

— Pomiędzy rządem chińskim w Nankinie a Watykanem toczą się rokowania w sprawie uregulowania stosunków dyplomatycznych. Również Sowiety okazały gotowość nawiązania stosunków z Watykanem, jednakże oferta ich nie została przyjętą.

— Mussolini wydał zakaz wydawania nowych koncesyj na wyszynki.

— Watykan wprowadzi własne pieniądze ze złota, srebra, miedzi i niklu. Na jednej stronie monet będzie wybity wizerunek papieża wraz z herbem, na drugiej rok wydania i początek pontyfikatu.

— We Francji premjer Poincare wystąpił z wnioskiem ustawy, dozwalającej na zakładanie kongregacyj zakonnych, zniesionych tam z początkiem b. stulecia. Wniosek mimo silnej opozycji stronnictw lewicowych przyjęto. Ma to duże znaczenie dla Francji ze względu na ruch misyjny w kolonjach franc., który po zniesieniu zakonów poczęli prowadzić misjonarze innych narodów, również i protestanci.

— Organizacje kulturalne Łużyczan wysłały do rządu pruskiego memorjał, żądający takich samych rozporządzeń szkolnych, jakie wydane zostały dla Prus Wsch. i Pomorza.

— Po wojnie urzeczywistniono w Europie żądanie równouprawnienia politycznego kobiet. Pełne prawa wyboru posłów mają kobiety w nast. państwach: Polska, Rosja, Niemcy, Danja, Anglja, Łotwa, Estonja, Finlandja, Holandja, Litwa, Luksenburg, Norwegja, Austrja, Szwecja, Czechosłowacja oraz Wolne M. Gdańsk. Ograniczone prawo mają: Belgja (tylko wybory gminne), Włochy i Węgry (zależnie od posiadania wykształcenia, wieku lub ilości dzieci). Nie mają prawa głosowania kobiety we Francji, Bułgarji, Grecji, Jugosławji, Portugalji, Hiszpanji, Rumunji i Szwajcarji.

ZE ŚLĄSKA OPOLSKIEGO.

— Ks. proboszcz Jan Melc ze Starego Koźla na Śl. Opolskim znany i odważny obrońca praw ludu pol. w Niemczech opublikował odezwę do Górnoślązaków, żyjących w Rzeszy niem. p. t. „Więcej czci dla naszych świętych rodaków".

Ks. Melc nawołuje, abyśmy przedewszystkiem czcili naszych świętych, a mianowicie Ślązacy św. Jacka, błog. Czesława i błog. Bronisławę ze sławnej rodziny Odrowążów śląskich. Odezwa kończy się następującemi słowami: „Wzywajmy naszych świętych o pomoc w obronie tego, co nam po dusznem zbawieniu najdroższem jest: naszej narodowości polskiej, naszej mowy ojczystej! Tej mowy, którą oni sami mówili, którą Ewangelję na Śląsku głosili, którą Bogu śpiewali! Tej mowy, która pierwsza z ust chrześcijańskich na Śląsku brzmiała, którą tu najpierw prawdziwego Boga wielbiono, a która teraz aż do ostatecznego skrawka Górnego Śląska wyparta jest, którą doszczętnie wytępić chcą nieprzyjaciele nasi, którą niewierne dzieci narodu same dla marnego zysku, albo dla bojaźni ludzkiej porzucają, która sama wymrze, jeżeli nam niebo nie pomoże. Bo sama siła ludzka nie powstrzyma nieszczęsnego rozwoju, który prowadzi bezsercowa polityka do zguby polskości w granicach państwa niemieckiego. Otóż wołajmy błagalnie do naszych Świętych, by nam u Boga Wszechmocnego i Wszechdobrego, Ojca narodów wszystkich uprasszali, aby raczył nie dopuścić, by nasza ukochana mowa polska tutaj wymarła!"

Numer podwójny — cena 1 zł. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Rok II. Katowice, 15 Kwietnia 1929. Nr. 3—4.

Ferdynand Foch.

Epoka wielkiej, krwawej wojny ludzkości, najkrwawszej tragedji, jaką przeżyły społeczeństwa ludzkie od czasów ich istnienia, zasuwa się powoli w mrok, zapada się w historję i legendę. Jeden po drugim opuszczają nas wielcy herosi tego zmagania ludów, którzy przez walkę i bój nieustanny wywalczyli światu i naszej Ojczyźnie wolność, budowniczowie wielkiego jutra narodów, które dla nas staje się teraźniejszością i rzeczywistością.



Dziś przychodzi światu żegnać najpotężniejszego z nich. Zmarł Ferdynand Foch. Naród francuski odpowiedział na wiadomość o jego zgonie jękiem żałoby. Rozdzwoniły się dzwony całej Francji, jak wielkie serce narodu francuskiego, ulice miast przystroiły się w sztandary i krepy żałobne. Lud odprowadził go do swego Panteonu — pałacu inwalidów, by prochy jego spoczęły obok wielkiego swego poprzednika — Napoleona Wielkiego. Trumnę otaczały orszaki przedstawicieli wszystkich narodów, o których wolność walczył; za lawetą, na której spoczywał, maszerowały błyszczące stalą bagnetów oddziały armij: francuskiej, angielskiej i czeskiej, szli oficerowie z buławami marszałkowskiemi Polski, Anglji, Francji, a wreszcie płynęła za karawanem szara masa tłumu, ogromna i mocarna, jak idea, którą wcielił w czyn.

Nie śniło się chyba ojcu Focha, Napoleonowi Fochowi, nazwanemu tak dla uczczenia wielkiego cesarza Francji, że syn jego będzie współzawodnikiem i następcą genjalnego Korsykanina. Skromny urzędnik wychowywał swego syna w górzystej okolicy Pirenejów, skąd to — jak mawiać zwykł Napoleon, Francja bierze najdzielniejszych żołnierzy i najlepsze żelazo. I istotnie Foch, był człowiekiem o woli prawdziwie żelaznej. Urodzony w 1851 roku, szybko przechodził stopnie wojskowe, w r. 1895 zostając profesorem Akademji wojennej, gdzie potrafił entuzjazmować swych słuchaczów swemi wykładami, ścisłemi, precyzyjnemi, wykazującemi wyższość taktyki wojennej francuskiej nad strategją Moltkego. W 1914 roku rozpoczyna jako generał francuski kampanję przeciwniemiecką, szybko dochodząc do dowództwa nad coraz to większemi jednostkami wojskowemi. Głównodowodzący armją francuską gen. Joffre, widząc jego wielkie zasługi w dowodzeniu odcinku frontu koło Nancy, zapewnia sobie jego najbliższe współpracownictwo, wreszcie w początkach roku 1918, kiedy to Niemcy, uwolniwszy swój front wschodni, przesunęli wielkie masy wojska do Francji i przeszli do rozstrzygającego ataku, nadeszła era Jego największego czynu. — Sprzymierzeni widząc, jak front ich, pozostający pod dowództwem nieskoordynowanem kilku generałów, gdyż na froncie zachodnim walczyły armje kilku państw, kruszy się pod ciosami młota germańskiego, zdecydowali się na powierzenie dowództwa naczelnego wszystkich wojsk Fochowi, który mając wtenczas lat już sześćdziesiąt i siedm, mocą swej niezwykłej energji i wytrwałości, potrafił utrzymać ducha zwycięstwa w armji, i ostatecznie Niemców pokonać. Maksymą swą, że

zwycięstwo należy do tego, kto na nie zasłużył większą miarą swej woli i inteligencji, wprowadzał niezłomnie w czyn. W pozycji niezmiernie ciężkiej, zdołał zmusić swych podwładnych do podjęcia ofenzywy i serją uderzeń ciągłych, co pewien czas się powtarzających, wydarł armji niemieckiej zwycięstwo. Po półmiesięcznej, uporczywej, heroicznej walce w dżdżysty dzień jesienny przed wagonem salonowym gdzie mieściła się główna kwatera Focha, zjawiła się delegacja oficerów niemieckich. — Przyszli prosić o zawieszenie broni — wielkie dzieło było skończone.

„Zapytujecie — pisał nieraz po wojnie Foch, dlaczego zwyciężyliśmy? Nie mogę sobie z tego dokładnie zdać sprawy. Była w tem jednak „ręka Boża“. W tem krótkiem zdaniu mieszczą się wszystkie rysy jego charakteru i skromność, bo skromnym, cichym człowiekiem był ten wódz, który dzierżył w swej ręce losy miljonów, skromnym, jak tylko prawdziwie wielki człowiek być może i być powinien, i prostota chrześcjańska ducha, i nieugiętość przekonań niezmienna, i patrjotyzm człowieka, który wierzył, że „Ponad człowiekiem stoi Ojczyzna, dla której szczęścia trzeba służyć, ponad ludźmi stoi prawo moralne, nad wojną — pokój“. Ta chrześcijańska filozofja, zwłaszcza dziś, w okresie wielkiego pomieszania pojęć, ma urok niezwykle pociągający. Czyni ona z Focha prawdziwego reprezentanta kultury zachodniej, opartej na ładzie, prawie i porządku. To też dla nas, Polaków jest nietylko człowiekiem, który przyczynił się walnie do odzyskania niepodległości, uwalniając świat od jarzma niemieckiego, ale też i jasnym, świetlanym ideałem człowieka i wodza. Do niego też samego można odnieść słowa jego odezwy do armji po zwycięstwie: Żołnierze zwyciężyliście w największej bitwie historji — i ocaliliście sprawę najświętszą — wolność świata, gdyż on właśnie największym był budowniczym tego radosnego „dzisiaj“ narodów, które pozwala nam młodym cieszyć się niepodległością.



Ferdynand Foch na łożu śmierci.

Niechże więc przed nim pochylą się sztandary naszych serc, niechże sprezentują się przed jego duchem ostrza naszej woli, aby shartowały się przykładem jego genjuszu i charakteru.

W Kręgu Rady.

Prawda, jak długo trwała tegoroczna zima — zdawało się, że nigdy już końca nie będzie śniegom i mrozom. Nawet teraz choć słońce jaśniejsze pokazywać się zaczyna, choć śnieg zniknął, w mieście przynajmniej — i teraz jeszcze w sercach mniej ufnych kryje się obawa: a nuż wróci i pewnego ranka znów śniegiem i mrozem powieje.

Bo gdy bardzo długo na coś czekać musimy, wkońcu zaczynamy wątpić w możliwość spełnienia, bez względu na to czy ma być to rzecz upragniona czy z lękiem oczekiwana.

A jednak przyjdzie wiosna napewno — więcej wam powiem — i lato nadejdzie i zima druga prędzej niż się spodziewamy. Nie dlatego to mówię, by zmrozić radość oczekiwania dni lepszych, lecz by przekonać, że wszystko w życiu przechodzi, jeśli ma swą kolej w porządku natury i nic nie może powstrzymać tego biegu.

Więc cóż zrobić — czy usiąść i patrzeć z założonemi rękoma i czekać, by po zimie znów wiosna nadeszła i nowe lato, które ustąpić musi miejsca jesieni? Myślę, że beznadziejne i bezowocne byłoby takie czekanie. Lepiej wniknąć w tę prawdę oczywistą, że nadchodzą i przechodzą nawet te chwile, które dziś wydają się nam bardzo odległe i z prawdy tej zaczerpnąć siłę do wyścigu z życiem. Tak do wyścigu, — bo trzeba się śpieszyć, jeśli nie chcemy, by właśnie dalekie chwile spadły na nas niespodzianie dnia pewnego.

Gdy jesteśmy młodzi, zdaje się, że tak dużo czasu mamy na wszystko, że jeszcze i to zdążymy zrobić i tamto, a w dodatku, że wiele dni możemy obrócić na bezczynne czekanie. A zima tymczasem ustępuje nowej wiośnie, bo natura nie próżnuje, lecz zawczasu przygotowuje swe siły, by godnie wystąpić, gdy jej pora nadejdzie. Wszystko tam ma swój cel — nawet spoczynek, nie jest martwym bezwładem, lecz przygotowaniem do nowych wysiłków. Czyż nie przekonywujący to przykład dla człowieka, który też jest cząstką natury i jej prawom podlega. A prawa to bezwzględne — niema wyjątku ani litości dla nikogo — więc kto nie chce utracić wartości życia, korzystać musi z każdej chwili, którą mu ono daje.

Wiosna nadchodzi nowa — niech będzie ostrzeżeniem i przypomnieniem ciągłej zmiany i upływu życia, lecz zarazem niech doda otuchy tym wszystkim, którym może mrok zimy odebrał chęć do wyścigu.

Każdy dzień nowy nowe nam daje pole działania — i smutny to wieczór, gdy powiedzieć sobie trzeba, że dzień zapadł się w przeszłość, nie zrobiwszy nic dla przyszłości. A kiedyś, gdy tych dni już bardzo wiele naliczymy, zobaczycie to wszystko nabierze wartości co prowadziło nas do celu trwałego, co robiliśmy z myślą o przyszłości. Jakież boleć będą chwile marnie stracone.

Więc teraz nie pozwólmy, by nowa wiosna zastała nas nieprzygotowanych — wszystko co niesie nam z sobą dobrego, wplećmy w plan dni naszych i biegnijmy w przyszłość radośnie po nowe i coraz nowe zdobycze.

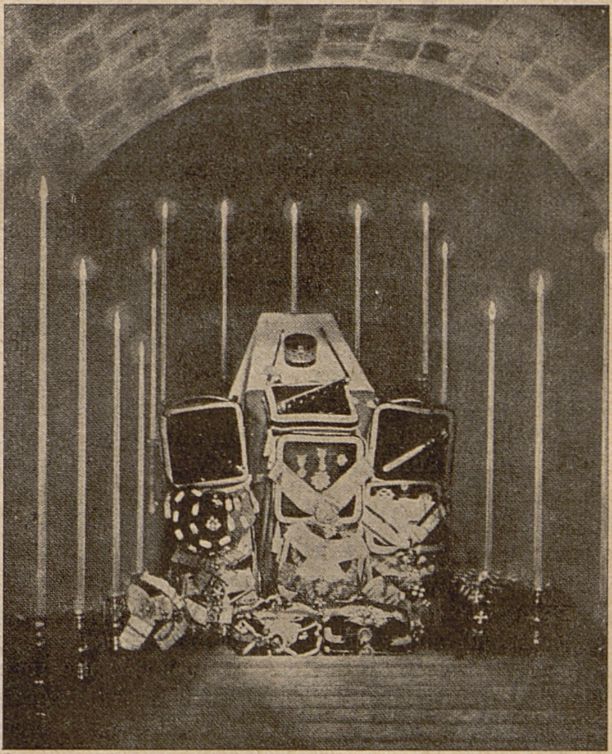
ŚWIĘTY WOJCIECH.

U progu historycznych dziejów państwa polskiego zarysowuje się wybitnie postać jednego z obcych przybyszów z pobratymczej ziemi, który przyszedłszy — a raczej przeszedłszy tylko ziemię polską, pozostawił w narodzie trwałą pamięć, a śmierć jego męczeńska wydała błogosławione skutki niezawisłości kościelnej i politycznej narodu, na którego ziemi doznał gościnnego przyjęcia. Człowiekiem tym to św. Wojciech, biskup praski i zakonnik benedyktyński, przyjaciel cesarski i asceta, misjonarz i święty męczennik za wiarę Chrystusową. Jego postać i jego życie, związane z całą Polską, a w szczególności z Wielkopolską, przypomnieć obecnie się godzi. Gdy 23 kwietnia obchodzimy uroczystość tego świętego, gdy w bieżącym roku cała niemal Polska, zwiedzając Poznań i Gniezno, oglądać będzie miejsce złożenia zwłok świętego biskupa i koleje jego życia wykute na metalowych odrzwiach katedry gnieźnieńskiej — niech pomyślą zwiedzający choć chwilę o tej jednostce tak nieprzeciętnej, która wyrosła ponad swój wiek i jego kulturę i której śmierć była blisko tysiąc lat temu podwaliną Kościoła i królestwa Polski.

W grodzie na Libicy w Czechach w roku 956 urodził się św. Wojciech. Rodzice postanowili go wychować na dzielnego rycerza. Lecz dziecko zachorowało, a zrozpaczona pobożna matka Strzeżysława, chcąc zachować je przy życiu, ofiarowała dziecko na służbę Bogu. Stwórca przyjął ofiarę i św. Wojciech wyzdrowiał. Votum matki zadecydowało o jego życiu. Nauki rozpoczął w Magdeburgu, lecz początki szły nieszczególnie. Z biegiem czasu jednak chłopak nawykł do szkoły, a w umyśle jego poczęły świtać myśli i zainteresowania, wznoszące się ponad świat doczesny. Modlitwa kierowała go coraz silniej ku nieziemskim myślom i mistycznym kręgom, a miłosierdzie dla ubogich wypełniało jego uczynki.

Jako wyświęcony ksiądz wraca do Czech i rychło zostaje powołany na rządcę diecezji po śmierci poprzedniego biskupa. Lecz tu już zaraz zaczyna się ciężka walka w życiu świętego Wojciecha — walka między tem co widział wokół siebie, a tem, jakim pragnął widzieć świat wyidealizowany w swej duszy i swych marzeniach. Czesi ówcześni dalecy jeszcze byli od prawdziwego chrystjanizmu — a św. Wojciech nie mógł ich odrazu oświecić i poprawić. Był on zdolny do najdalej idących ofiar ze swego mienia czy życia, nie posiadał jednak zdolności do powolnej, konsekwentnej pracy, zadawalającej się bodaj małemi rezultatami. Udaje się przeto do Rzymu, by tam znaleźć ukojenie i wskazówki na dalsze lata życia. Zapragnął wstąpić do klasztoru, zostać mnichem i ascetą. Nie był pewien jednak, czy wolno mu pozostać w klasztorze, opuściwszy twardy i niewdzięczny lud i pracę nad nim. Z wątpliwości swych zwierzył się bogobojnemu pustelnikowi św. Nilusowi. Ten uspokoił go i radził pozostać w klasztorze. Wstąpił więc św. Wojciech do klasztoru Benedyktynów na Awentynie. Cztery lata tam przeżył modląc się i pełniąc posługi klasztorne, na rozkaz jednak przełożonych udaje się do Pragi na osieroconą katedrę biskupią, lecz niedługo zrażony nowemi niepowodzeniami i napadem na swą siedzibę biskupią, wraca do klasztoru i znowu dni płyną mu na modlitwie i pracy. Podczas tych lat zapoznał się z młodym władcą ówczesnego chrześcijańskiego świata cesarzem Ottonem III. Otto był też jednostką, której zainteresowania wyrosły nad wiek swój i otoczenie. Pragnieniami swemi sięgał dalej niż ówczesne niemieckie społeczeństwo — a gorąca przyjaźń z św. Wojciechem i wspólne rozmowy pociągały go do celi klasztornej.

Tymczasem arcybiskup moguncki Wigilis, jako bezpośredni zwierzchnik praskiej diecezji, żądał powrotu św. Wojciecha. Poraz trzeci dąży św. Wojciech do Pragi, wraca do swej katedry, lecz z nieodwołalnem postanowieniem. Jeżeli teraz lud go nie przyjmie, jeżeli nie zdoła pracować nad ziomkami, to uda się do pogan i tam głosić będzie Wiarę świętą, a może uzyska upragnioną męczeńską śmierć w Chrystusie. Bo jeszcze w Rzymie miał osobliwe widzenie. Widział nieba i w niem dwa kręgi biały i purpurowy — a głos objaśnił go, że do obu może wejść. Bracia zakonni wyjaśnili, że białe koło to żywot świątobliwego zakonnika — czerwone to purpura męczeńska. Św. Wojciech wolał wybrać czerwone. Do Pragi jednak nawet nie doszedł. W drodze doszła go wieść, że cały ród jego został wymordowany — pięciu braci zginęło, a szósty ocalał tylko dzięki temu, że przebywał w chwili katastrofy na gościnnym dworze księcia Polski Bolesława Chrobrego. A kiedy mimo tych, grozą przejmujących wieści, święty Wojciech dążył dalej i stanął już blisko granicy Czech, poseł czeskiego księcia wzbronił mu wstępu na ojczystą ziemię. Wolny od obowiązkowego powrotu, udał się wypędzony biskup na upragnioną misję do pogan. Droga do Prus, gdzie dążył, prowadziła przez Polskę.



Katafelk z Marsz. Fochem w katedrze Notre Dame.

Bolesław Chrobry gościnnie przyjął świątobliwego męża, otaczał go opieką, a święty nauczał lud polski. Dużo jeszcze w Polsce pozostawało do uczynienia, by lud stał się naprawdę chrześcijańskim. Niewiele pomagał nacisk ze strony władcy i surowe kary za przekraczanie przepisów Kościoła. Toteż chcąc temu zaradzić, nauczał święty Wojciech lud, zakładał klasztory benedyktyńskie, by stały się ogniskami nowej wiary. Klasztory w Trzemesznie,

Międzyrzeczu i Łęczycy jemu mają zawdzięczać swe powstanie. Widząc tak wielką działalność świętego, pragnął Bolesław zatrzymać go w Polsce.

Lecz inne były zamiary św. Wojciecha. Toteż z wiosną 997 roku żegna się z gościnnym krajem i jego władcą i z bratem swym Radzymem, oraz uczniem Boguszą, kieruje się na północ. Droga szła z Gniezna do Gdańska, z Gdańska ku Prusom. Początkowo misja doznała życzliwego przyjęcia. Dzień cały chrzcił św. Wojciech w Gdańsku, ostatniej placówce państwa Chrobrego. Potem poszedł dalej w kraj Prusaków. Tam jednak pogański lud począł się burzyć i występować wrogo przeciw przybyszom — zabroniono im nauczać, wypędzono ich z osad ludzkich. Poszli w puszczę. W puszczy nocowali, a na drugi dzień odprawił święty Wojciech na polanie Mszę św. — słuchały jej miast ludzi drzewa i leśne ptactwo.

Po nieudałej próbie powrotu do pracy misyjnej, cofnęli się znużeni podróżnicy znowu w las. Zmęczeni usnęli na polanie, a do śpiących podeszli Prusacy. Przeszyty pogańskiemi włóczniami, z modlitwą na ustach za swych morderców zakończył św. Wojciech swe życie dnia 23 kwietnia 997 roku. Ciało męczennika wydali Prusacy za okupem Bolesławowi Chrobremu, a ten pochował je z czcią w Gnieźnie. Nadspodziewanie szybko został św. Wojciech kanonizowany. W trzy lata po śmierci w 1000 roku podążył do grobu męczennika przyjaciel jego, cesarz Otto III. I przy jego grobie powstała metropolja kościelna Polski, a władca jej Bolesław, dzięki tym wypadkom, uzyskał godność królewską. Kult św. Wojciecha rozszerzył się po całym kraju. W miejscach gdzie, według podania, miał nauczać — budowano kościoły pod jego wezwaniem.

A kościół św. Wojciecha w Gnieźnie stał się pierwszą świątynią królestwa.

I choć św. Wojciech nie nawrócił nikogo, — choć zginął nie na polskiej ziemi, śmierć jego wydała owoce nieocenionej doniosłości, uczyniła z księstwa napół pogańskiego — królestwo chrześcijańskie, niezależne kościelne, niepodległe politycznie.

Ciało św. Wojciecha leżało w Gnieźnie, lecz część relikwij zabrał ze sobą cesarz z daru Chrobrego. Relikwje te leżały w obcej ziemi prawie tysiąc lat i dopiero w zeszłym roku wróciły do Polski, przywiezione przez ks. prymasa Augusta Hlonda.

Stając przeto w najbliższych tygodniach u grobu św. męczennika — biskupa, powinniśmy pamiętać co winna mu Polska za jego błogosławioną śmierć męczeńską.

Empe.

Dziesięciolecie „Bibljoteki Narodowej".

Niema chyba wśród nas nikogo, ktoby nie znał choćby z widzenia, popularnej winietki tomików wydawnictwa „Bibljoteki Narodowej". W swej barwnej i estetycznej, choć skromnej szacie docierają one dziś wszędzie. Korzysta z nich niemal każdy, kto chce poznać lub odświeżyć w umyśle wybitne dzieła literatury polskiej i obcej. Od Gdańska do Zaleszczyk, od Bielska do Baranowicz uczy się z jej tomików uczeń szkoły średniej, czyta ją polski chłopiec samouk na Łotwie, we Francji czy nawet w Charbinie. Zna ją i użytkuje młodzież naszych uniwersytetów, co więcej, posiada ona licznych zwolenników wśród starszego społeczeństwa wszystkich klas i kategoryj, rozsiewając wszędzie, gdziekolwiek się znajdzie, znajomość wybitnych dzieł literackich.

To też warto, dziś, po dziesięciu latach pracy wydawnictwa i po ukazaniu się 116 tomików I. serji obejmującej polskich pisarzy i 47 tomików przekładów, razem 163 tomów, zastanowić się na chwilę nad tem, dziś świetnie się rozwijającem wydawnictwem.

Plan wydawania „Bibljoteki Narodowej" polskiej, wydawnictwa obliczonego na ogromną skalę, i mającego ciągnąć się nie przez jedno pokolenie, kiedy zaczęto je realizować przed dziesięciu laty, nietylko że nie rokował nadzwyczajnego powodzenia, lecz odstraszał ogromem przedsięwzięcia. Przytem, przy przysłowiowej niechęci starszej i młodszej publiczności polskiej do dzieł literatury starszej, i przy jej upodobaniu do powojennej, „łatwej" lektury powieściowej nasuwał poważne wątpliwości co do swej realizacji.

Tymczasem przedsięwzięcie powiodło się nadspodziewanie dobrze. Niektóre tomiki „bibljoteki" rozchodzą się w powtórnych i potrójnych wydaniach. Powodem tego jest przedewszystkiem poprawność wydawnictwa, oraz skomentowanie tekstów licznemi i doskonałemi objaśnieniami, dzięki czemu „Bibljoteka Narodowa" przyjęła się tak prędko w szkole średniej i na uniwersytetach, zastępując zupełnie, używane dotychczas wydawnictwa. Dość wspomnieć, że pieczołowitość o tekst wymagała przy niektórych tomikach przeprowadzenia 7—10 korekt tj. poprawiania błędów drukarskich, a czasem i przeskładania całego tekstu. Wreszcie, celem wprowadzenia czytelnika w przedmiot lektury, celem odzwyczajenia go od pobieżnego czytania, które daje mało korzyści, a jest niestety tak głęboko zakorzenionym błędem naszego czytelnictwa, poprzedzono każdy tomik wyczerpującym wstępem, pisanym przez wybitnych uczonych, historyków literatury, zaś na każdej stronicy pod tekstem umieszczono szereg wyczerpujących objaśnień.

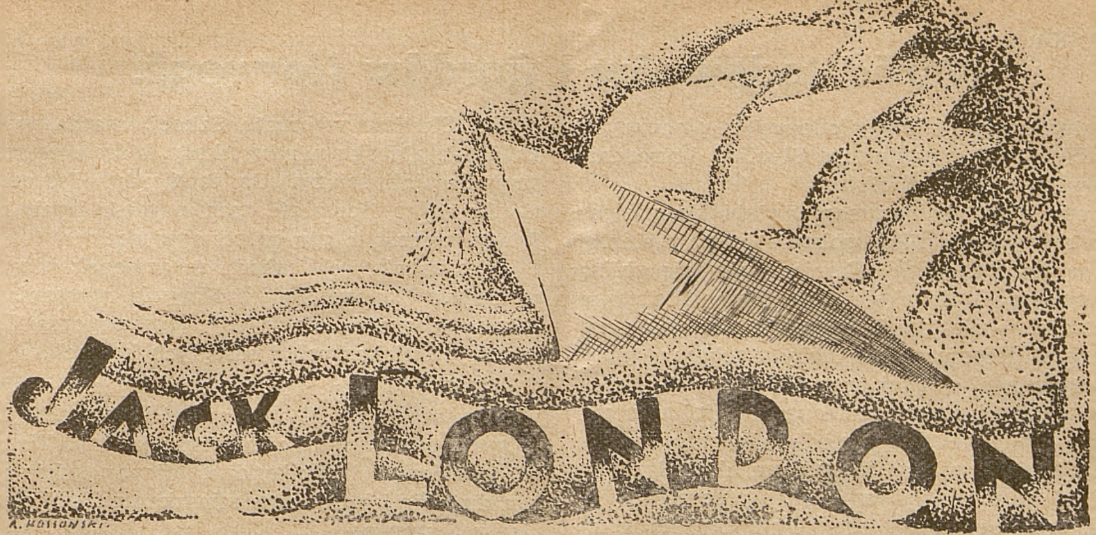
Teksty w „Bibljotece Narodowej" są szczególnie starannie opracowywane krytycznie i zestawiane nie na podstawie tylko samych dawniejszych druków, w których często znaleźć można omyłki i przeoczenia, ale wielekroć też na podstawie rękopisów autorów.

Wszystkie te przyczyny sprawiły, że dziś „Bibljoteka Narodowa" po dziesięciu latach może się poszczycić ilością 2,830.000 egzemplarzy, przyczem spopularyzowano i uprzystępniono dla społeczeństwa polskiego dzieła mało napozór ciekawe, ale z punktu widzenia kulturalnego bardzo ważne jak np. „Kronikę Gallusa" (6.000 egz.), wybór pism Mikołaja Kopernika (7.000 egz.) i inne.

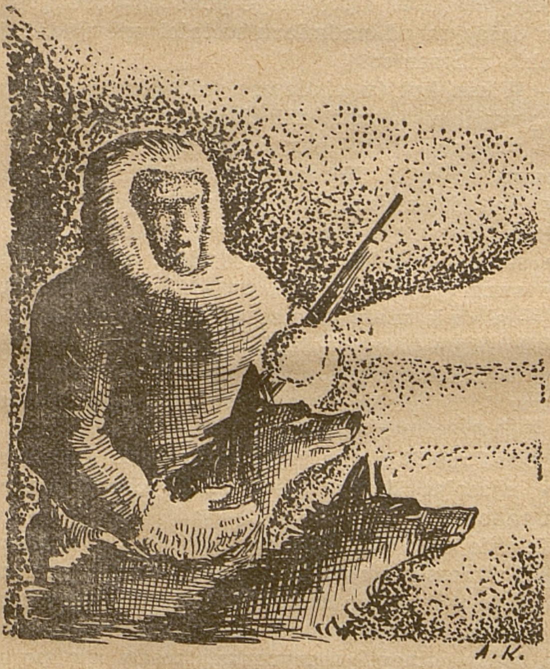
„Bibljoteka Narodowa" wydaje swe tomiki, zredagowane zarówno popularnie jak i naukowo nietylko dla szkoły, ale dla wszystkich umiejących i chcących czytać.

Wszyscy znajdą w nich w chwilach wolnych od zajęć fachowych, dobrych towarzyszy, uczących ich odczuwać i rozumieć wielką poezję romantyczną Mickiewicza i Słowackiego, obok wspaniałych epopeji Homera czy dramatów i komedyj Szekspira. Jest rzeczą niemal pewną, że i nadal „Bibljoteka Narodowa" będzie uprzystępniać szerokim masom nasz dorobek kulturalny, czego jej wszyscy kochający naszą literaturę szczerze życzą.

Kazimierz Liwocz.



Mocne jest wino życia — świetne jego blaski,
Każde jutro rozbłyska nieznaną przygodą,
Na morzach południowych, w pustyniach Alaski,
Wszędzie, kędy uderzy serce wiecznie młode.



Dźwiękami srebrnych młotów walą w skroniach tętna,
Krew wrząca kipi razem, grzmi rozdzwonną pieśnią,
Przyszłe dni się spiętrzyły i krzyczą namiętnie,
By chłopięce marzenia w czynie ucieleśnić!

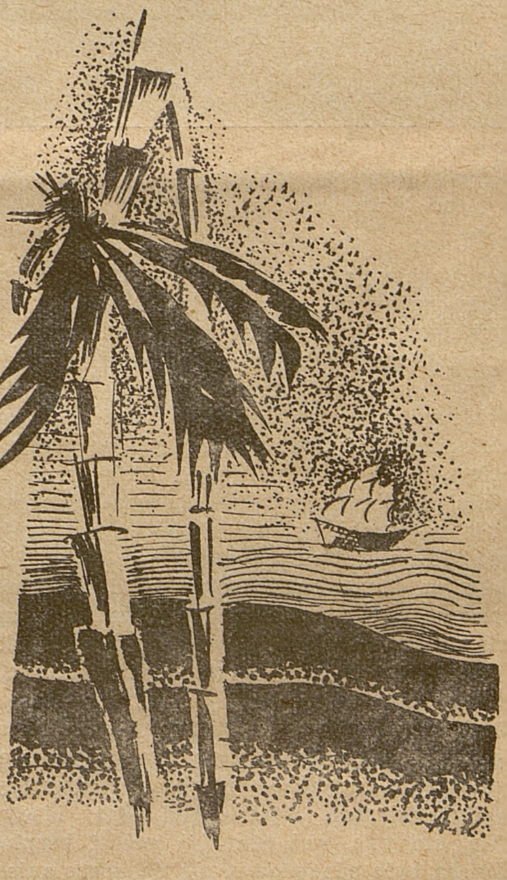
Romantyzm, prawdy życia — surowy i twardy,
Bohaterstwa i klęski wiecznych szczęścia łowców,
Poezja dróg przebitych mozolnie oskardem
I braterstwo na szlaku spotkanych wędrowców.

W okrutnych garściach wichru, śnieżycy i mrozu,
Pod wielką zórz północnych rozwitą koroną
Pędzimy za przygodą ze skrzypieniem płozów,
Po śnieżystych zawałach zmarzłego Jukonu.

Wieczorem w kręgu ognia, poświacie księżyca,
Ślepią krwawe źrenice, półdzikie wilczary,
I grzmi pieśń ich żałosna, tęsknoty niesyta,
Zew krwi, łowów i wspomnień o bojach prastarych.

To znów — srebrna błękitność morza statek huśta,
Ławice koralowe — palmy na atolach —
Czarne twarze krajowców — białe żagli płótna
I u pasów błyszczące rewolwery Colt'a.

Aż wreszcie, kiedy oczy napatrzą się do cna,
Płomienne żądzą serce do reszty ochłódnie,
Wydarzy się ostatnia — cudownie uroczna
Przygoda wszelkich przygód...



— W niemy żar południa.
O tysiąc mil od lądu, z białego szkunera
Popłynie — opuszczając rozkosze i biedę —
Do wielkiej wyspy ciszy — do ukojeń brzegów,
Tuląc morze w ramionach krzepkich — Martin Eden.

Jan Kazimierz Zaremba.

ZOFJA WOŁOWSKA.

Wśród lodowców i fjordów Norwegji.

Gorące, południowe godziny jednego z pierwszych dni czerwca.. W klasie jest duszno. Słychać brzęczenie much i miarowy głos nauczycielki.

Marysia siedzi przy oknie w samej głębi klasy i patrzy na drzewa rosnące na ulicy, pokryte bujną zielenią. Lekcja dłuży się jej niezwykle... koniec roku się zbliża i dużo czasu poświęca się w szkole na pytanie. Ona sama jest pewna promocji — nie pytają więc jej teraz, jak i całej grupy lepszych uczenic. Nudzi się słuchając wciąż tych samych odpowiedzi z temi samemi ciągle błędami, cierpliwie poprawianemi przez znudzoną również nauczycielkę. Marysi się już nawet podpowiadać nie chce. Patrzy na zielone liście drzewa odcinające się na skrawku błękitnego nieba i zdaje jej się, że czuje świeży powiew wiatru, zapach pól, że słyszy szum lasu... Ach! Być teraz na wsi, pędzić przed siebie przez lasy i pola, byle w dal. Jak ją ta „dal" zawsze ciągnie! Cóż, kiedy niestety w tym



Jezioro z moreną wśród „Fjeldów" na połud. od Jontunheimen. (Zdjęcie z lipca).

roku nawet wakacje tak już bliskie i tak zwykle upragnione, nie przyniosą wyzwolenia. Ciotka, u której Marysia wychowuje się wraz z bratem od śmierci matki i wyjazdu ojca do Ameryki, nie ma pieniędzy na wyjazd i całe lato spędzą w mieście. Ciotka ma pralnię przy ulicy Wroniej, zwykle szło jej nieźle, ale w ostatnich czasach jakoś się popsuło; mąż jej dłuższy czas był bez pracy i pieniędzy brakło. Niedawno po dokładnych obliczeniach, ciotka powiedziała dzieciom z przykrością lecz kategorycznie, że na kolonje harcerskie jechać nie mogą w tym roku, bo tej nawet niewielkiej sumy jaką trzeba wpłacić, nie ma i dać nie może. Był to prawdziwy cios dla Marysi, bo tak bardzo pragnęła tego wyjazdu, tak ją ciągnęły nowe nieznane strony, a drużyna jej w tym roku miała jechać daleko, bo aż do puszczy Białowieskiej. Ale cóż robić. Marysia wiedziała, że ciotka i tak robi co może przy tej niewielkiej sumce pieniędzy dosyłanej z Ameryki od czasu do czasu przez ich ojca na ich utrzymanie. Jechać zaś bezpłatnie, korzystając z pomocy drużyny — nie chciała. Była zdrowa, i jak dotąd nigdy biedy nie zaznała. Nie, ani ona, ani brat jej jechać bezpłatnie nie mogli. Trzeba było zdecydować się na pozostanie w Warszawie, i to w czasie, gdy nie będzie nawet zbiórek drużyny. W tem ciasnem, dusznem mieszkaniu na Wroniej trzeba będzie spędzić wakacje, z zapachem pralni obok, a jako jedyne zajęcie pozostawało roznoszenie po domach upranej bielizny i pomoc ciotce w pisaniu rachunków.

W tej chwili głos nauczycielki nagle podniesiony i ożywiony wyrwał Marysię z zadumy.

...„Skaliste wybrzeża Szkocji otacza ocean, fale wciskają się głęboko między skały, które czasem sterczą prostopadle jak ściany. Są to fjordy. Jeszcze piękniejsze fjordy są w Norwegji, tam w niektórych miejscach lodowce wprost z gór schodzą w ocean.."

Dzwonek. Ach, szkoda że dzwonek przerywa właśnie to ciekawe opowiadanie! Marysia ogromnie lubi wogóle lekcje geografji, ale wtedy gdy nauczycielka opowiada o różnych ciekawych i odległych krajach.

Dziewczynka idzie do domu przez duszne, zapylone ulice miasta i myśli o oceanie i lodowcach. Żeby to kiedy w życiu zobaczyć taką cudowną krainę! Wzdycha i wchodzi w ciasne schody brudnej oficyny, gdzie na III piętrze znajduje się ich mroczne mieszkanie. Robi się jej na duszy ciężko i smutno...

Ledwie dotknęła dzwonka, gdy drzwi szeroko otworzył jej brat, wołając od progu:

— Marysia! wiesz, powiem ci coś bardzo ważnego. Głos jego był tak widocznie zmieniony przez jakieś radosne wzruszenie, że i Marysi serce szybciej bić poczęło. Jaś pociągnął ją do sąsiedniego pokoiku i jednym tchem, głosem drżącym od nadmiaru radości opowiadać jej począł takie zdarzenie:

— Wiesz, był tu niedawno taki pan, marynarz, podobno przyjaciel tatusia, dał cioci taki duży list, i wiesz co było w liście? Tatuś przyjeżdża z Ameryki, ale nie do Warszawy, tylko do Norwegji, do miasta co się nazywa Bergen. Tatuś jest kolegą tego pana i prosił go, by nas zabrał do Norwegji. Ten pan przyjechał wcześniej, na innym statku, a tatuś ma przyjechać za kilka dni. Ma być ze swoim statkiem dwa tygodnie przy brzegu Norwegji — ale nie może do nas przyjechać, tylko chce, żebyśmy do niego przyjechali. Ten pan przywiózł pieniądze, na wyrobić dla nas paszporty, za trzy dni mamy jechać. Najpierw do Gdańska, a potem morzem. Rozumiesz? Marysia! Pojedziemy za morze!

Tu Jaś rzucił się na szyję siostrze, bo już nie znalazł innego sposobu dania ujścia niesłychanej, zawrotnej wprost radości.

Marysia była zupełnie ogłuszona tą niespodziewaną wieścią i wprost nie chciała wierzyć własnym uszom.

Była to jednak prawda. Ciotka rozpowiadała o wszystkiem głośno różnym przyjaciółkom, które zaciekawione wizytą nieznajomego marynarza, zeszły się po wiadomości.

— Moja pani, jak ja się lękam wysłać dzieci same tak daleko, póki żyję na świecie, nie słyszałam o takiem mieście. I to mają jechać same, bo ten marynarz odwiezie je tylko do Gdańska. Nie chciałam zrazu pozwolić. Ale mąż mi zaraz powiada: „Jakże to dzieci do ojca rodzonego nie poślesz? Chce je widzieć, widać ma serce dla nich, może i na przyszłość zaopiekuje się niemi, a ty dzieci nie puścisz? Muszą jechać i basta". I po prawdzie, on ma rację. Grzech byłby dzieci ojcu nie posłać. Wyjedzie znowu do Ameryki i niewiadomo kiedy powróci, a o dzieciach może ze wszystkiem zapomnieć. Niech więc już jadą w imię Boże, ale co strachu o nie będę miała, to będę miała! W taki kraj daleki, moja pani, czy to kto słyszał?...

Marysia nie słuchała już dalej tych wynurzeń, bo całą jej głowę zajęły myśli o tej dalekiej podróży, która dla niej zupełnie inaczej się przedstawiała niż dla ciotki. Najpierw zobaczy tatusia, którego od czterech lat już nie widziała — co za szczęście! Ale obok tego, oto mają się

ziścić jej najgorętsze pragnienia, jej najpiękniejsze marzenia. Pojedzie w dal... W kraj nieznany odległy, a który w geografji wyglądał tak czarownie! Odetchnie powietrzem morskiem, pozna góry, lodowce, fjordy... Zobaczy nowych nieznanych ludzi — Norwegów i tę północ daleką, gdzie podobno w lecie nie zachodzi słońce...

Marysia ledwie może pojąć cały ten bezmiar radości, który tak nagle spadł na nich, i to w chwili, gdy ją tak bardzo zgnębiły szare mury miasta! Nie może jednak oddawać się marzeniom, bo strasznie dużo jest teraz do zrobienia, do przygotowania. Trzeba otrzymać zwolnienie ze szkoły na takie przedwczesne wakacje, trzeba oporządzić i przygotować swoje rzeczy no i rzeczy Jasia, bo choć on harcerz, ale w tych rzeczach pomoc dziewczyny jest niezbędna. Trzeba przyrządzić plecaki, kompasy, sznurki, noże składane, zapałki, słowem wszystkie przybory wycieczkowe. W taką podróż! No i trzeba się ze wszystkiemi pożegnać, z koleżankami ze szkoły i z drużyną przedewszystkiem!

Te trzy dni przeszły jak we śnie. Ani się Marysia spostrzegła, gdy nadeszła chwila wyjazdu. Tyle było roboty, tyle biegania przedtem, że teraz wydaje się dziewczynce, że ten wyjazd to bajka jakaś. A jednak nie śni. Oto siedzą oboje z Jasiem wraz z ciotką i nieznajomym marynarzem w taksówce, która ich wiezie na kolej. Czy aby się nie spóźnią?

Oto są już na dworcu. Zgiełk, tłum ludzi rozpychających się, pilnowanie rzeczy, wołania ciotki. Za chwilę są w przedziale kolejowym. Ciotka i wujek stoją przed wagonem, a oni wychylają się przez okno.

Ciotka daje im ostatnie polecenia:

— Marysiu, uważaj na Jasia, tyś o rok starsza i rozsądniejsza, on przecież ma dopiero 12 lat. Pilnujcie rzeczy, nie zgubcie pieniędzy, a pamiętajcie nie zaziębić się!

Dużo podobnych przestróg pada z jej ust. Dzieci zapewniają ją, że może być zupełnie spokojna, przecież harcerze dadzą sobie wszędzie radę. „Niech ciocia się nie boi o Marysię, mówi Jaś, ja ją obronię w razie potrzeby" nie zdaje sobie dokładnie sprawy jaka to ma być obrona, ale w tak dalekim kraju niewiadomo co zdarzyć się może...

W tej chwili rozlega się gwizd, konduktor zatrzaskuje drzwiczki. „Odjazd!"

Pociąg zwolna rusza z miejsca, unosząc dzieci w nieznaną dal!

(C. d. n.)

Odbudowanie państwa papieskiego.

Niedawno byliśmy świadkami, drugiego, po wojnie wszechświatowej najważniejszego zjawiska w sytuacji międzynarodowej XX wieku. Jest nim przywrócenie państwa kościelnego.

Pomiędzy Stolicą apostolską a rządem królestwa Italji zawartą została umowa, mocą której utworzono niezawisłe terytorjum, składające się z kompleksu budynków i ogrodów watykańskich, i oddano je we władanie Papieżowi, jako władcy świeckiemu. Napozór drobny ten fakt, jak znikome jest terytorjum nowego państwa. Wśród miniaturowych państewek jak San Marino, Lichtenstein, Monaco, Andorra, Tavolaro, Państwo Papieskie jest najmniejsze. Obejmuje zaledwie kilkadziesiąt hektarów powierzchni! Ale zato znaczeniem swem i powagą, spiętrza się ono niejako wzwyż, będąc pod względem swego autorytetu, jednem z największych mocarstw na ziemi. To też fakt wskrzeszenia państwa papieskiego ma pierwszorzędne znaczenie, szczególnie gdy zważymy, w jak nienormalnych warunkach musiała pozostawać dotychczas widoma głowa katolicyzmu. Jeszcze przed niespełna sześćdziesięciu laty (do r. 1870) Rzym oraz jego okolica należał do Papieża, który zarządzał swym państwem, i utrzymywał w nim wojsko, jak każdy władca świecki. Kiedy jednak w r. 1870 Włochy zjednoczyły się, wojska młodego państwa pomaszerowały na Rzym, aby go zdobyć i wcielić jako stolicę do odrodzonego kraju, korzystając ze sprzyjających dla nich okoliczności, że właśnie wtedy Francja, zajęta wojną z Niemcami, była zmuszona wycofać z Rzymu dywizję swych wojsk, która strzegła dotąd nienaruszalności terytorjum papieskiego. Ponieważ Papież ówczesny (Pius XI) odmówił wydania miasta, wojska włoskie rozpoczęły atak i po krótkiej walce miasto zdobyły. W odpowiedzi na zabór miasta, papież nie uznał rządu włoskiego, zamknął się w Watykanie jako dobrowolny więzień, i tak on sam jak i każdy z jego następców aż do dnia dzisiejszego, nie opuszczał pałaców watykańskich. Nie potrzeba dodawać, jak dalece cierpiała sprawność administracji kościelnej z powodu zerwania oficjalnych stosunków ze światem zewnętrznym, tembardziej, że we Włoszech Kościół nie posiadał żadnych praw. To też nie brakło ze strony rządu włoskiego wielokrotnych i usilnych starań, aby zmienić niewygodny dla obu stron stan rzeczy, wszystkie jednak rozbijały się o nieugięte stanowisko Kurji Papieskiej. Dopiero dzisiejszemu dyktatorowi Włoch Mussoliniemu, udało się za cenę uznania suwe-



Fot. J. Grabowski.

Kwitnąca grusza.

renności Państwa Papieskiego sprawę tę pomyślnie rozwiązać, przyczem rząd włoski zgodził się na zapłacenie papiestwu sumy miljarda lirów, jako odszkodowanie za zabrane w r. 1870 terytorja. Równocześnie zawarty zostaje pomiędzy Kurją papieską a rządem konkordat regulujący wzajemny stosunek Kościoła i państwa.

Odtąd więc, będzie mógł Papież opuszczać Watykan, i osobiście administrować tem olbrzymiem państwem, jakim jest dziś świat katolicki. *K. L.*



SZLAKIEM CZARNOHORSKIM

Jakże to dobrze sprawił Bóg
Z każdego miejsca — tyle dróg
(Piosenka ludowa).

„Szlak" nasz rozpoczynamy niedaleko za Kołomyją, w Słobodzie Rungurskiej, ostatniej stacyjce kolejki lokalnej, gdzie zostaliśmy dostawieni maszyną, pamiętającą chyba jeszcze czasy nieboszczyka Stephensona. Szanownym tym wehikułem dowodzi maszynista, co trochę uderzający w wielki dzwon, alarmując i ostrzegając nielicznych przechodniów.

Wiele utrapień ma podróżny na sławetnej linji Kołomyja—Peczeniżyn. Już od samej chwili ruszenia pociągu toczą się w jednym wagonie rzeczowe dyskusje, czy aby pociąg przepuszczą przez most, który jakoby się od pewnego czasu chwieje.

Na każdej stacyjce stoi się nieprawdopodobnie długo, nie można zaś puszczać się na dłuższe spacery w okolicę, bo podstępny pociąg lubi nieraz zdradziecko i niespodziewanie ruszać, a wtenczas pasażerowie muszą go pędem doganiać.

Wreszcie jednak nadchodzi chwila rozstania się z sympatyczną koleją. W kilka godzin po opuszczeniu pociągu patrzymy już na nią z góry, jak pióropuszem dymu żegna nas, odchodzących w kraj leśny i „pierwotny".

Zgodnym rytmem marszu zdążamy do stóp błękitniejących w oddali gór i lasów, gdzie

„Szum Prutu, Czeremoszu huculom przygrywa".

Już w pierwszym dniu wędrówki wdzieramy się na pagórki huculszczyzny, skąd odsłania nam się cudowna panorama.

Nieliczne wioski wyzierają nieśmiało z sinej, i jakby sennej fali borów, które wspinając się na szczyty górskie błękitnieją dalekością. Łagodne, kopulaste cielska gór, ułożyły się na horyzoncie smugami. Nie jest to jeszcze wał Czarnohory. Za temi górami leży dopiero serce huculszczyzny, i największa wieś w całej Polsce, Żabie, do którego zdążamy.

Po drogach witają nas zamiast wysokich zczerniałych krzyżów polskich dróg, niskie kamienne, bielone z zaokrąglonemi po bizantyńsku ramionami. Spotykamy rosłych Huculów w barwnych strojach tych stron, gdzie jeszcze nie zdążyła się przyjąć kusa marynarka „międzynarodowa". Przeważnie dużo więcej rozgarnięci i inteligentni, niż Białorusini i Poleszucy. To też przyjemnie się z niemi gwarzy na zielonych ścieżkach górskich.



Z dołów, gdzie huczą wielkie strumienie i pracują tartaki, wychodzimy powoli na szczyty. Pierwszy zdobyty przez nas większy szczyt, to Grahit. Podchodzimy do niego wieczorem i pod samym szczytem nocujemy po raz pierwszy w huculskiej kolebce na hali. Huculi przyjęli nas, jak zawsze gościnnie. Ludzie na tych „wysokościach" i tak odosobnieni chętnie przyjmują wszelkich przybyszów, co im daje możność przerwania swych jednostajnych zajęć i obserwowania ekscentrycznych gości, pykając z fajki, usiadłszy gdzieś w kącie na szczątku ławy. Naokoło koliby zagrody, gdzie połyskują białemi runami gromady owiec i przeżuwające jednostajnie swój pokarm, łaciate krowy. Są też konie i kozy, a nad tem wszystkiem czuwają dwa wielkie kudłate, owczary Łańcusz i Targo, które chciały nas z początku zjeść, ale wkrótce oswoiły się z naszemi niezwykłemi dla nich postaciami i kładąc łby na nasze kolana, zaglądały nam przymilnie w oczy.

Tymczasem ogromne lasy i rozległe połoniny poczęły tonąć powoli w mrokach.

Zniknęły już widne stąd równie kołomyjskie, a na zachodzie ostatnie rozprysłe iskry zórz dusi dym nocnych mgieł. O czarne ściany borów odbijają się przenikliwe, rzewne tony, jak skargi ostatnich przebłysków słońca, zduszonych przez noc.

To stary Baca wyszedł przed szałas i otrębuje noc na długiej trąbicie, wskazując drogę ostatnim, zapóźnionym trzodom.

Jasno płonie watra w kolebie.

Ogromna „berfała" na której zawiesza się garnki i skopce z żętycą, rzuca wydłużony cień na przeciwległą ścianę, podziurawioną przez sto kołków, na których wiszą rozmaite przybory pasterskie. Na dworze słychać od czasu do czasu krzyki juhasów czyli jak tu mówią, Bołharów i Wiłczarów, tj. pasących bydło i owce, straszących podkradające się nieraz do stad wilki.

Nie zeszedł jeszcze świt, gdy w kolebie ruszyło się wszystko. Juhasy do stad, Baca do warzenia żętycy, a my na szczyt Grahitu, stojący przed nami w otoczy siwych mgieł.

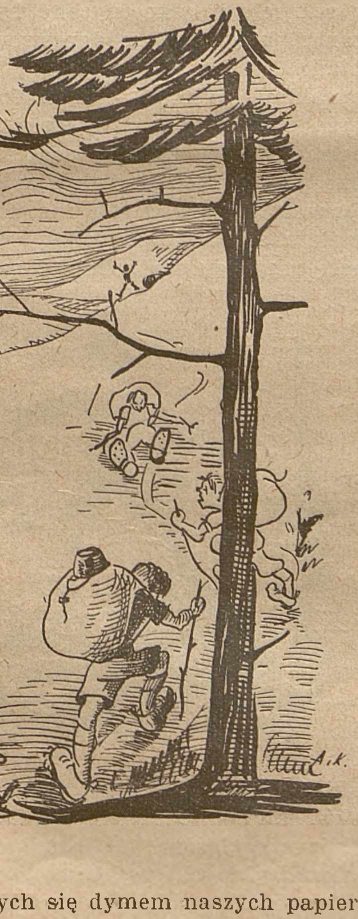
Na szczycie znajdujemy kilka ogromnych głazów, nagrzanych przez słońce, na których urządzamy sobie legowisko.

W błyszczącem światłem powietrzu lśni na południe wał Czarnohory, pofałdowane zbocza przekreślają gdzieniegdzie wązkie, białe szczeliny śniegowe. Bliżej, pod nami rozsiadło się nad Czeremoszem Żabie a na prawo, wśród roztok leśnych wije się droga z Worochty. Na północ lśnią kopułki cerkiewek, w wioskach któreśmy już zostawili za sobą. Stąd już tylko dzień drogi do Żabiego, a raczej dzień szybkiego zbiegania po stromych stokach górskich.

Swą codzienną porcję kilometrów odrabiamy solidnie i wytrwale, wiedząc, że widzieliśmy dopiero początek cudowności, które nas oczekują nad Prutem i Czeremoszem. Idziemy jak zwykle rankami i wieczorami, południem zapadając w zarośla okolicznych potoków, kąpiąc się w wodzie i słońcu, warząc strawę, i wogóle bawiąc się jak cztery fauny, tembardziej, że i brody nasze, nietknięte brzytwą od początku wędrówki, zbliżają nas do tego rodzaju stworzeń.

Żabie, stolica huculszczyzny przepasała się, jako przystoi, lśniącym tęczowym pasem Czeremoszu. Wysnuty srebrnemi nićmi z siwawych mgieł górskich, opowiada Czeremosz hukiem i grzmotem swą nieokiełzaną moc, a cichym szmerem rozsłonecznionych wód na mieliznach piękno swych okolic. Na wodospadach, kiedy przetacza się z szumem przez wielkie głazy, lśni czerwienią i złotem pasów huculskich, zielenią smreków, które obmywa, w wiecznym swym pędzie.

Z rozkoszą kąpiemy się w jego wodach, a na brzegu siedzi kilku naszych nowych przyjaciół, „tubylców" z rozwagą zaciągających się dymem naszych papierosów „Aromatica", których zakupiliśmy w Kołomyji przezornie większy zapas, gwoli przychylnego usposobienia dla siebie wszelakich hucułów.



Po półdniowym odpoczynku, słusznie zapracowanym przez tygodniowy marsz, puszczamy się znów na wędrówkę „borem lasem" w górę Czeremoszu. Wędrówka to uciążliwa, gdyż ostatniej jesieni Czeremosz szalał, jak to mu się już dawno nie zdarzyło. Nawał wód unosił podobno domy, zwierzęta i trzaskał je o nadbrzeżne skały. Pozostały po tem ślady w poderwanej lub całkiem zniszczonej gdzieniegdzie drodze.



W drugim dniu naszej wędrówki wzdłuż Czeremoszu, gdzie okolica jest już naprawdę bezludna, spotkaliśmy podczas marszu nocnego niespodziewanych towarzyszów podróży. Był to starosta, urzędnik lasowy i dwóch leśniczych tamtejszych, jadących na komisję leśną gdzieś pod Czarnohorę, gdzie obsunął się cały brzeg jaru, i czterdzieści hektarów lasu zsunęło się w dolinę. Odtąd przez dwa dni jechaliśmy razem z „władzami", korzystając z ich gościnności po okolicznych leśnictwach i tworząc barwną grupę pieszo i na malutkich huculskich konikach.

Pod samem miejscem katastrofy leśnej odłączyliśmy się wreszcie od nich, aby zobaczyć, ogromną naturalną „klauzę" w Szybenym.

Winienem tu objaśnić, że klauzy są to sztucznie przeważnie stworzone jeziorka, które służą jako zbiorniki wód na dopływach Czeremoszu. Z chwilą, gdy nadchodzi spław drzewa, otwiera się na dany znak „klauzy" i tratwy płyną po wezbranym Czeremoszu. Do jeziora w Szybenym prowadzi droga moszczona palami drzew, niedawno stosunkowo przez wojska niemieckie przebita przez gąszcze leśne.

Widać, niszczący pług wojny przeorał te zapadłe strony docna, skoro i tędy przewożono ciężką artylerję.

Po drogach zresztą wszędzie widzimy małe, ogrodzone żelaznemi, na pół przerdzewiałemi sztachetkami cmentarzyki wojskowe z napisami: Hier ruhen... i t. d. jak wszędzie, na całej polskiej ziemi.

Doszliśmy wreszcie do Burkutu, ostatniego leśnictwa na Pokuciu. Na południe stąd, u źródeł Czeremoszu, jak nam oświadczył leśniczy, jest jeszcze tylko strażnik klauzy, który jednak trochę przez wiek i odosobnienie zdziczał, tak, że nie przyjmuje za swe usługi pieniędzy, tylko tytoń i gotowe towary. Ścieżki też żadnej niema, i trzeba ciągle przechodzić Czeremosz wbród. To też po przenocowaniu, decydujemy się opuścić naszą dotychczasową drogę, góry rozciągające się na południe od wału czarnohorskiego, aby dotrzeć do granicy rumuńskiej. Wkrótce spotykamy znowu białe gromady owiec na pasznistych halach, a za chwilę dostrzegamy różnobarwną chorągiewkę „piketeszti" rumuńskiej.

(Dokończenie nastąpi.)

Jan Kazimierz Zaremba.

Jak Antek Cwaniak wilczków kształcił.

ROZDZIAŁ VI.

Twardowski na kogucie.

Ulicą Łowińskiego rękę w rękę szło dwóch przyjaciół: Antek Cwaniak i Franek Abecadłowski. Byli tak zajęci rozmową, że nie zwracali uwagi ani na zalane wiosennem słońcem dachy kamienic, ani na rozchylające się pęki drzew rosnących wzdłuż ulicy, ani na ledwo wyrosłą w ich cieniu słabiutką trawkę. Antek mówił:



Ten drużynowy — to zawsze tak robi. Niby siedzi zdaleka od wilcząt, niby nie przeszkadza zwoływać zbiórek, czasem nawet przyłazi do nas, ale zawsze każe sobie opowiadać o tem, co ja chcę z wami robić. I jak w soboty przychodzę do niego — to gada, gada jakby dziurę w brzuchu wiercił. Czasem te rozmowy są nawet nie bardzo nudne, bo drużynowy to jednak nie frajer, kapuje się na różnych sprawach i zawsze wie co wilczaki lubią a czego nie, co jest dobre, a co złe. Tylko szkoda, że z niego taka ofiara. Nigdy nie biega, nie skacze, nie łazi po płotach ani po drzewach, nie zatańczy z nami...

— A poco on z tobą o wilczkach rozmawia?

— O — myślisz, że ja bardzo wiem? Widocznie tak już musi być. Drużynowy uczył się na różnych kursach i czytał dużo mądrych książek o wychowywaniu. Bo widzisz, żeby być dobrym rolnikiem — trzeba uczyć się w szkołach o zbożach, żeby być leśnikiem — trzeba nauczyć się wszystkiego o drzewach; jak drzewa rosną, czem się karmią, jakie mają choroby i różne inne różności. Tak samo jest z chłopakami. Różni uczeni dużo wiedzą o chłopakach i wogóle o dzieciach. Wiedzą czego trzeba chłopakom, żeby byli zdrowi i silni, żeby nie bali się strachów i żeby, gdy wyrosną dawali dobre rady w życiu. Wiedzą co chłopakom szkodzi a co jest pożyteczne, co jest nudne a co ciekawe, wiedzą nawet jak się robi u chłopców charakter.

— Charakter? — przerwał Franek, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi.

— Głupi jesteś, ale nie nawalaj! Jeśli dobrze pójdzie to za dwa lata będziesz taki mądry jak ja. Tylko nie przerywaj — zaraz o drużynowym skończę. Więc są różne nauki o chłopakach, a jedna to nawet wiem jak się nazywa. Pies-chologja... Coś nie tak... Psy-chologja — o, teraz dobrze! Wiedziałem, że jakoś od psów się zaczyna.

— Psy chologja... — nabożnie szepnął Franek.

— A tak. Więc drużynowy zna te wszystkie nauki i psy chologja też. I zawsze wie, jakie ćwiczenia i zabawy dla wilcząt będą dobre i potrzebne, dlatego muszę się z nim naradzać. Ale to tylko na dobre wychodzi. Najgorzej, że czasem każe robić z wami straszliwie trudne rzeczy. Pamiętasz, jak zaczęliśmy bawić się w dżungle, w tygrysy, Bundarlogi, Mowglego?... Oj ile się napociłem, żeby to wszystko zrozumieć! A teraz każe zupełnie inaczej się bawić, mówi, że to u Anglików wilczacy grają w dżungle i że u nas trzeba wymyślić polskie zabawy. Gadał ze mną o tem tak dużo, aż mi głowa spuchła, napisał różne rzeczy w notesie i dziś już będzie inna zbiórka. Będziemy się bawić w Twardowskiego.

— Fiuuu! Tego co na księżycu siedzi i co o nim w książkach piszą?

— Tego samego!

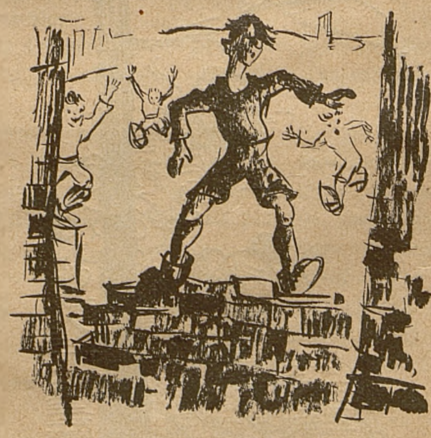
Tymczasem wyszli za miasto. Ani się spostrzegli, zainteresowani rozmową, gdy wyminęli plac Kamińskiego i wielką aleją Dzidzi zbliżali się do ruin cegielni. Kochana cegielnia już od 2-ch tygodni gościła wśród swych murów trajkotliwych wilczków, gdyż zaraz z nadejściem wiosny zaczęto tam właśnie urządzać zbiórki. I teraz, ledwo Antek i Franek weszli na mostek, doleciało ich uszu z głębi murów krótkie, rozkazujące pianie koguta.

— Aha, już są gotowi — wyrzekł Franek. — Ciekawy jestem, czy Zygmuś się spóźni.

Chłopcy weszli do ruin i skierowali się ku wielkiej szopie, w której zwykle odbywały się zbiórki. Gdy tylko przekroczyli próg, Antek szybkiem spojrzeniem ogarnął ściany i wnęki okien, a czujnem uchem starał się chwycić najmniejszy szmer. Ale niezmącona niczem cisza panowała w ruinach i tylko słychać było przyśpieszony oddech Franka, który zawsze denerwował się przed zaczęciem zbiórki.

— Wrzaskliwy Wilku — uroczyście i głośno odezwał się doń Antek — ułóż mi z cegieł skałę wodzowską.

— Postaaaram się, Cwany Wodzu — wrzasnął Franek i szybko począł układać pośrodku szopy górkę z cegieł. Gdy „skała“ została zbudowana, Cwany Wilk wlazł na nią ostrożnie, a groźnie powiódłszy wzrokiem dookoła, trzepnął parę razy rękoma o boki i zapiał.



— Ki-ki-ri-kiiii...

— Ki-ki-ri-kiiii — odezwało się momentalnie kilkanaście piskliwych głosów; w jednej chwili z ukrycia, z poza zasłon ceglanych, wgłębień, z za drzwi i okien wyskoczyła gromadka chłopców i kikirykując, wymachując rękoma, skacząc, otoczyła Antka równem kołem.

— Postarajcie się, wilczki, postarajcie się — zawył Antek.

— Postaramy się — poważnie wyła niskiemi głosami gromada.

Tedy Antek zeskoczył ze „skały“, a obchodząc dookoła krąg Rady załatwiał różne sprawy.

— Widzę, że niema tylko Grzegorza Plisiuka. Nikt nie wie dlaczego? Nie. Wrzaskliwy Wilku, wyjmij wielką księgę Gromady i zapisz, że wilk Grzegorz Plisiuk bez żadnego wiadomego powodu opuścił zbiórkę. Kto z was przyniósł składkę, niech napisze na papierku swoje nazwisko i ile płaci, niech podejdzie do skały i wrzuci pieniądze razem z kartką do pudełka. Dobrze. Tylko nie pchać się. Powoli! Dobrze. A teraz niech wstanie Szary Wilk Balasiński i zbierze od wilcząt gniazda, które mieliście na dziś zrobić ze słomy, siana i gałęzi.

Te i inne sprawy załatwiał Cwany Wilk, a gdy skończył, wlazł na „skałę“ i tajemniczym szeptem zawołał.

— Wilki! Dziś cały czas będziemy opowiadać i bawić się w Twardowskiego. To był wielki czarodziej i mówią, że teraz mieszka na księżycu, a tylko jeden pająk może się do niego dostać. Więc wilki, z początku trzeba zrobić czary z pająkiem, żeby się zbiórka udała. Kto pierwszy znajdzie pająka? Raz, dwa, trzy!

Rozbiegli się błyskawicznie, a po chwili Zygmuś już krzyknął „jest!“ Wszyscy skupili się koło małego pajączka, czyhającego na pierwsze wiosenne muchy, i pod przewodem Antka zaczęli tańczyć, naśladując rękoma wspinanie się po pajęczynie na księżyc. Jednocześnie powtarzali za Antkiem różne zaklęcia, że nie będą bać się strachów, że Twardowskiemu nie chcą ubliżyć i t. d.

Potem zasiedli w kuckach krąg Rady i z zapartym oddechem słuchali Antka. Bo też było czego słuchać. Już dawno — dawno takich ciekawych opowiadań nie mieli wilczacy. Najpierw Cwaniak mówił o lekkomyślnym szlachcicu, który, w noc burzliwą wracając do domu, połamał bryczkę. Rozgniewany kłopotami obiecał niemądrze djabłu za naprawę powozu oddać to, co jest u niego w domu nowego. Okazało się, że żona szlachcica urodziła tej nocy synka. Szlachcic o tem nie wiedział i dlatego niechcący przyrzekł go djabłu. A tym chłopcem był Twardowski. Długo opowiadał Antek jak Twardowski rósł, jak się uczył, jak chciał być strasznie mądrym, żeby wszystko wiedzieć, jak chciał ludziom robić dobre uczynki, ale że zrobił okropny błąd, bo zaczął naradzać się z djabłem i nawet z własnej woli obiecał mu swoją duszę. I jak potem Twardowski bardzo żałował swego grzechu i na różne sposoby starał się od djabła odczepić.

Antek obiecał, że na każdej zbiórce opowiadać będzie różne przygody Twardowskiego, których nauczył się od drużynowego a dziś opowie tylko o kogucie i garnkach. Ale gdy zaczął Cwany Wilk opisywać tłok i gwar na rynku krakowskim, gdy powiedział o zamiarze Twardowskiego przyjechania tam na kogucie i gdy tego koguta Twardowski namalował na ścianie, potem chuchnął nań i dosiadł, gdy zaczął Antek opowiadać o przerażeniu i popłochu przekupek, o wrzaskach handlarzy, którzy, widząc jeźdźca na olbrzymim kogucie, rozbiegali się na wszystkie strony — wilczęta nie mogły słuchać tego obojętnie i podniecone zerwały się na nogi, biły brawo, śmiały się głośno a któryś nawet krzyknął: „Niech żyje Twardowski!“

Gdy uciszono się, Cwaniak mówił dalej. O tem, jak jechał Twardowski po opustoszonym rynku i zobaczył dwie sprzeczające się handlarki garnków. Tak się kłóciły, że nie dostrzegły czarodziejskiego jeźdźca. O tem, jak je Twardowski rozbroił, jak dla nauczki potłukł garnki, jak potem otoczyli go ośmieleni Krakowianie i w triumfie prowadzili ulicami miasta aż do mieszkania.

— Z Twardowskiego można się dużo nauczyć — kończył Antek. Naprzykład — musimy umieć dobrze rysować kogutów i inne zwierzęta. Bo gdyby Twardowski źle namalował wtedy na ścianie — to wyszedłby śmieszny kogut i tylkoby była blamacja. Tak samo wilczęta powinny nie kłócić się, rozdzielać bijących, nie bać się uczyć jazdy na koniach, na rowerach i wogóle być dzielnymi. No, ale gadania już dość, zabierzmy się do roboty.

Zerwali się wszyscy, choć chcieliby jeszcze słuchać tych ciekawych przygód. Ale cóż zrobić — jak nauka, to nauka. A Antek postanowił, żeby chłopcy uczyli się koguciego marszu, bo to im będzie potrzebne. Oj, jak było trudno chodzić podnosząc wysoko kolana! A najgorzej, że Antek ciągle krzyczał „raz — dwa!“ i chciał, żeby u wszystkich wilczków wypadała jednocześnie w marszu lewa noga a potem prawa. Zupełnie jak w wojsku. Tylko że wojsko nie podnosi tak wysoko, po koguciemu, kolan i nie wypręża tak piersi.

— Raz, dwa, raz, dwa! — wrzeszczał Antek.

— Lewa, prawa, lewa, prawa! — krzyczał dla odmiany.



Gdy już się jako-tako nauczyli chodzić równo w nogę, Antek kazał rozejść się, wyciągnął z kieszeni arkusz papieru, jaki dostał od drużynowego i zapowiedział, że zaraz zaczną się uczyć piosenki.

— Bez piosenki nijak nie można. Żadne wojsko nie maszeruje cicho, a koguty też śpiewają. Posłuchajcie, jak to jest. Nauczycie się łatwo, bo trzeba to śpiewać na nutę krakowiaka.

A w naszym Krakowie
Co nad Wisłą leży
Mieszka Pan Twardowski
Szlachcic jak należy.

Oj na rynku rojno
Bo to dzień targowy,
Kupcy i kupcowe
Potracili głowy.

Nagle — rany gorzkie!
Tfu — tfu, cud — czy mara?
Uciekajcie ludzie
Zbliża się poczwara!

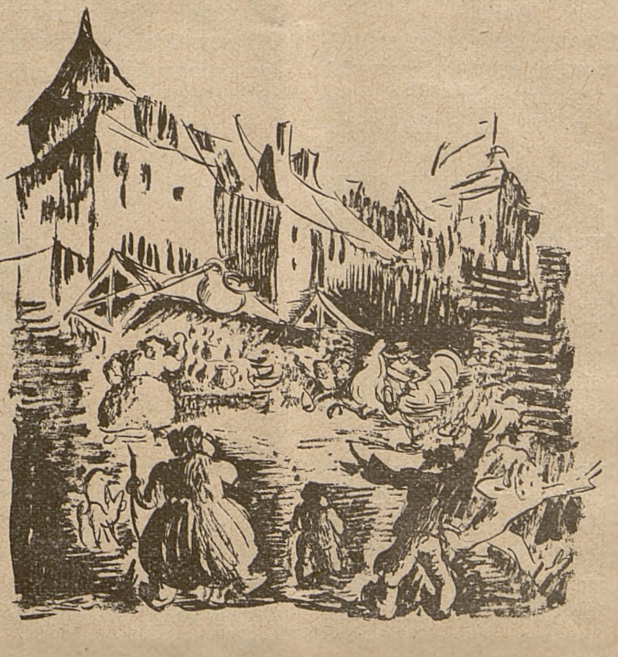
Na kogucie jedzie
Szlachcic pan Twardowski.
Wąs do góry kręci
Uśmiech ma beztroski.

A kogut, jak rumak
Grzebie ziemię łapą,
Ogonem potrząsa
I rozdyma chrapy.

— Wiwat — krzyczy tłuszcza
Potężny czarodziej
Wiwat mistrz Twardowski
Krakowiak — dobrodziej!

Po piętnastu minutach chłopcy śpiewali piosenkę, jak anioły. Zresztą to porównanie o tyle jest nietrafne, iż wrzaski i falsety rozbawionych śpiewaków spłoszyły nawet z ruin zaspanego nietoperza, a oszołomiony pająk zniknął gdzieś w szczelinie — snadniej więc byłoby porównać śpiewających wilczków do jeńców, obdzieranych żywcem ze skóry lub do djabląt nurzanych w święconej wodzie. Ale niech tam, niech już będą — jak anioły!

Szczytem uroczystości było, gdy Antek ogłosił siebie Twardowskim i wsiadł na kark największego wilczaka. W mig jeszcze paru dosiadło „wilczaków" rozpoczęły się pełne fantazji harce po szopie. — Wnet jednak uciszył Antek i uporządkował swą gromadkę w „przepisowy" pochód. Sam jechał na brykającym kogucie, a przed nim i za nim cisnął się tłum krakowski, śpiewając świeżo poznaną piosenkę.



Nagle przypomniał sobie coś Cwany Wilk i zeskoczywszy z „koguta", począł komenderować ostro: „raz — dwa, raz — dwa, lewa — prawa". Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrównał się krok wilcząt, stopy mocno i rytmicznie uderzać poczęły o ubity grunt podłogi, nuty pieśni nabrały równiejszych drgań.

— Morowo jest — szepnął Antek. Umieją już wszystko fest. Teraz to już chyba można ich wykształcić w robieniu żywego obrazu.

Oj, co to była za męka z tym obrazem, jak to było strasznie trudno zrozumieć i ułożyć. A ile przytem powstało kłótni! Każdy chciał być Twardowskim albo kogutem, nikt nie chciał być babami. Krzyczeli, popychali się, skarżyli. Antkowi wreszcie zabrakło cierpliwości.

— Zamknijcie paszczęki raz nareszcie. Te, foko, nie bądź trajkotką, a ty Felek nie drzyj się, jak stare prześcieradło. Co jest, do słonia ciężkiego, albo ma być porządek, albo nie!

Cicho zrobiło się, jak makiem zasiał. Więc Antek począł już urągać spokojniej.

— Gadałem wam o kłótliwych przekupkach i mówiłem, żebyście takiemi nie byli. A wy co? Tacy to z was i mężczyźni będą. Ofermy, dziady, jęzory nikczemne.

Po tem urąganiu było już cicho, ale cisza nie na wiele przydała się obrazowi Antek chrząkał, pocił się, wpadał w zadumę, raz — wraz drapał się po głowie, ustawiając chłopców. Bo trzeba było zrobić taką scenę: pośrodku siedzi na kogucie z dumną miną Twardowski a kogut grzebie łapą. Z przodu, przed czarodziejem kłócą się dwie baby i skaczą do siebie z wyciągniętemi wiele przydała się obrazowi. Antek chrząkał, pocił się, Krakowianie. Mają najróżnorodniejsze miny i postawy. I teraz tak: jak Antek mówi: raaaz, dwaaa, — to obraz „żyje": Twardowski kręci wąsa, kogut przebiera nogami i niepokoi się, baby walczą, krakowiacy gestykulują, krzywią się i krzyczą „ah — ach". A gdy Antek powie — „trzy!" — wszystko momentalnie zamiera.

Najtrudniejszą rzeczą w obrazie było niezwłoczne uspokojenie się na „trzy". Raz to się już prawie udało, ale trzeba nieszczęścia, że jedna „baba" dała drugiej zbyt silnie pięścią w nos, poszkodowana narobiła nadprogramowo strasznego wrzasku i już naprawdę brała się do bitki. O mały włos nie skończyło się na wyrzuceniu obydwu ze zbiórki.

Wszystko się jednak na świecie kończy. Więc i obraz udał się nareszcie! Ale co to był za cudowny obraz, jak to wspaniale wyglądało! Antek aż zapiał z radości.

— Jak kiedy będzie jakie przedstawienie i my pokażemy swój obraz, to publiczność aż zapłacze z radości — rzekł z przekonaniem Cwany Wilk. — Moja ciotka zawsze w kinie płacze!

Reszta zbiórki przeszła już swobodnie, wśród radosnych okrzyków, wilcząt, których Cwaniak wyprowadził na plac przed cegielnię. Urządzono walkę kogucią, polegającą na tem, że chłopcy zakładali ręce na plecy i na jednej nodze przyskakiwali do siebie, popychając się piersiami. Wygrywał ten, kto zwalił przeciwnika na obie nogi. Potem urządzono konkurs na najprawidłowsze pianie koguciе i okazało się, że najlepiej pieje Zygmuś.

Wrócono wreszcie do cegielni. W skupieniu i powadze słuchali wilczacy rozkazów Cwanego Wilka: Każdy ma zrobić w domu z wyklejanek koguta i powiesić u siebie nad łóżkiem, a kogut niech wszystkim przypomina, że niepotrzeba się kłócić. Wilk nigdy nie powinien być swarliwy.

—Postaraaamy się... — wyli na pożegnanie chłopcy.

Ponieważ Antek spieszył się do domu, gdyż obiecał ciotce przynieść ze składu węgla, więc wyszedł z ruin pierwszy, zostawiwszy zastępcę Franka, aby po jednemu wypuszczał z cegielni wilcząt. Gdy skręcał już w aleję Dzidzi, wydało mu się, że jakaś postać w harcerskich spodenkach mignęła z boku i skryła się za załomem muru.

— Czyżby nas kto z drużyny śledził? — pomyślał strapiony. Stanął i przez chwilę chciał popędzić w kierunku tajemniczej postaci, przypomniała mu się jednak niecierpliwie czekająca nań ciotka, więc skrzywił się tylko nieprzyjemnie i pobiegł do miasta.

A. K.

Hasło dnia dzisiejszego, umieszczane na drugiej stronie okładki, porusza zazwyczaj aktualne zagadnienie z życia młodzieży, lub społeczeństwa, wskazuje na jakieś niedomaganie, w formie ogólnej wysuwa idee pewnego konkretnego czynu. Przeznaczamy je dla tych, którzy młodzieży przewodzą, chcemy wskazać im, co w danej chwili trzeba w p r o w a d z i ć w ż y c i e.

Napiszcie do Redakcji, co zdaniem waszem nadaje się do wysunięcia w „haśle dnia dzisiejszego" w następnych numerach „Na Tropie", co jednem słowem wy uważacie za hasło dla młodzieży w najbliższym sezonie.

Odpowiedzi oczekujemy przez cały miesiąc maj.

GUSTAW MORCINEK.

Długie nogi.

Tymczasem dziwne rzeczy działy się na świecie. Ludziska wiedli o nich długie a tajemnicze rozmowy, rozglądając się, czy tam jakiś żandarm, lub inny zły człowiek nie podsłuchuje. Bo byłoby nieszczęście gotowe. Wpakowanoby biedaka na front i już po komedji. Radowali się przytem skrycie i dłonie zacierali z uciechy. Rudek radował się z nimi. Jednostajność życia, ograniczająca się tylko do zdobycia kawałka chleba, uczyniła go wrażliwym na nowiny, przychodzące nie wiedzieć skąd i kiedy. Górnicy coraz częściej omawiali bliski upadek Austrji, coraz częściej cieszyli się możliwością ukończenia wojny i coraz mocniej zaprzątało wszystkim głowy, co też potem nastąpi...

I istotnie. Pewnego dnia nadleciała przewidywana wieść.

Dnia 1 listopada, wczesnym rankiem, wszczął się po Karwinie dziwny zamęt, jakieś radosne zamieszanie. Kopalnie stanęły, nikt nie poszedł na szychtę, a przy gospodach i na drogach skupiali się górnicy i żywo coś omawiali. Załogi wojskowe, obozujące na kopalniach, tego dnia jakoś spokorniały i siedziały ukryte w obrębie zabudowań szybowych. Jedynie oficerowie, przeważnie Niemcy i Madziarzy, uwijali się z przerażonemi gębami po drogach, coś do siebie bełkotali i wystraszonemi oczyma strzygli po czarnych, rosnących tłumach.

Górnicy zaś czekali.

Cisza była, jak przed burzą.

A wieści tymczasem rosły i przylatywały coraz ciekawsze. Od Cieszyna leciały. Coraz głośniej i huczniej mówiono, że Austrję już djabli biorą, że nastąpił przewrót, że w Cieszynie mamy już polskie wojsko, które czeskie i niemieckie załogi przepędziło za dziesiątą górę, i że czas, by i tych Madziarów, co jeszcze u nich siedzą po kopalniach, mocno po skórze przetrzepać, rozbroić, porozpędzać, a gdyby się naprawdę opierali, to tłuc patykami po łbach, co wlezie.

Górnicy jęli coraz zapalczywiej w dłonie popluwać, od „pierońskich dziadów" wyklinać, zaczęto sztachety wyciągać z przydrożnych płotów, w gromady zbijać i wielką ćmą ruszać na szyby. A po drodze, dla dodania sobie odwagi, znów ciężko poklinali, swoje baby przywoływali dla towarzystwa, i nawzajem się głośno przekonywali, że, gdyby Madziary chciały stanąć okoniem, to ich należy sprać, ale tak sprać, żeby po wieczne czasy pamiętały, że miały z górnikami karwińskimi do czynienia.

Rudek przyłączył się do tej gromady, która na jego dawną kopalnię zmierzała. Uzbrojony w ciężką sztabę żelazną, szedł na samym przedzie, mocno pokrzykując i odgrażając się Madziarom i sztygarowi Poprtalowi. Radował się, że nareszcie będzie mógł wywrzeć na kimś swą złość, co już tak dawno jego serce gryzła.

Doznał jednak przykrego rozczarowania, bo zaledwie przyszli do bramy kopalni, podeszli do nich całą kupą żołnierze, wołając po węgiersku coś wielce przyjaznego z daleka podając im swe dłonie na przywitanie. Górnicy z początku zbaranieli, bo się nie spodziewali takiego przyjęcia. Rychło jednak pokumali się z nimi, i chwaląc ich teraz w niebogłosy, że „ci Madziarzy to jednak są porządni chłopcy, jak pieron", poszli wspólnie na kopalnię. Żołnierze wydali im wszystkie karabiny i konie, a sami niezwykle uradowani, poczęli się z wielkim wrzaskiem i śpiewaniem wybierać na dworzec. Górnicy rozczuleni nad podziw zachowaniem się żołnierzy, obdarowali ich jeszcze na drogę derkami i plecakami, co im poprzednio je zabrali, krzyknęli „Eljen madziaro szambarato!" i odprowadzili ich kawał drogi w obawie, aby po drodze nie stała się im jaka krzywda. Djabeł przecież nie śpi, i kto wie, coby się stało, gdyby tak biedaków żony górników napadły. Sprałyby ich miotłami, coby wlazło. A szkodaby ich było, takich porządnych ludzi. Wprawdzie po drodze baby wydziwiały coś na nich i pięśćmi wygrażały, żadna jednakże nie ośmieliła się na nich targnąć, widząc ich w przyjacielskiej asyście swych chłopów. Na dworcu pomogli im jeszcze górnicy powłazić do wagonów, jako że im się trochę z czupryny kurzyło, odkrzyknęli na pożegnenie mnogie „Eljen madziaro szambarato!" pomachali im czapkami i poszli.

Rudek nie poszedł z nimi. Dostał mu się w łupie koń huzarski, więc poświęcił mu wszystką uwagę. Inni górnicy odwozili na wozach zdobyczną broń do Domów Robotniczych, gdzie miała pozostać dla tworzącej się już milicji śląskiej. Koni nie można było odstawić do Domów Robotniczych. Jeszczeby mogły tam z głodu poumierać, lebo co... Dlatego też każdy prowadził je do domu. Tam dzieci dały im pojeść trawy, a gdy trawy brakło, postanowili je chłopcy nakarmić do reszty sianem, które matki na strychu dla swych kóz gromadziły. Powstał stąd okrutny wrzask i narzekanie, gdyż chłopcy beczeli po kątach, mocno poturbowani matczyną pięścią, matki zaś wydziwiały, nie mogąc przeboleć takiego marnowania boskiego daru dla jakichś konisk, z których jeno kłopot w domu, a nic więcej. Uciszyło się dopiero, gdy górnicy umyślili odprowadzić konie do Frysztatu i Cieszyna, by je tam oddać dowództwu formujących się wojsk polskich. Chłopcy znowu poweseleli, bo wymówili sobie u ojców, że im pozwolą przejechać się trochę na końskich grzbietach, matki ucichły, bo już się nie było trzeba lękać o kozie siano.

Rudek poprowadził swego wierzchowca do domu. Uwiązał go u płotu i poszedł do matki pochwalić się zdobyczą. Po drodze umyślił, że go sobie zatrzyma. Będzie woził nim węgle po Karwinie, będzie nim zarabiał, potem sobie kupi kolasę i powiezie się z matką do kościoła, następnie dokupi drugiego, wynajmie sobie parobka, który będzie powoził, a on zaś pieniądze zgarniał do kabzy,



Fot. Wł. Skoczylas.

Droga w zimie.

a gdy ich dużo nazbiera, wybuduje se chałupę, a matce kupi kapelusz i złoty zegarek na szyję, a sobie rower i także zegarek i króliki i wszystko. Potem się ożeni z Hanką Pustówczyną, a dzieci pośle do szkół, żeby się wyuczyły na inżynierów, a dziewczynę wyda za samego hrabiego Larysza. To-ci dopiero będzie parada, piernika kandy!...

Miód miał w sercu, gdy wstępował do izby. Rychło jednak zamienił się w piolun, gdy matka przywitała go takiem biadoleniem i narzekaniem, że aż strach. Tłumaczyła synkowi, by w te pędy wynosił się z koniem, bo któż widział trzymać w domu cesarskiego konia? Kto? Jeszcze mogą synka zato powiesić lebo co!... Spłakała się przytem rzewnie, że Rudek postanowił nieszczęsnego konia odwiązać od płotu i puścić samopas.

— Niech se idzie, kaj chce — myślał z goryczą — mieliby człowieka jeszcze za to powiesić... Matka prowde mówi, jak to jest cesarski koń, to go nie lza w chałupie dzierżeć.. Jeszczeby była z tego jako bryja... No, idź se koniczku, idź... uciekej, tu stela.

Koniczek jednak nie uciekał. Zasmakowała mu trawa pod płotem, to też na dogadywanie Rudkowe jeno ogonem machał i dalej ją szczypał, nie mając wcale zamiaru odchodzić.

Na szczęście przyszedł sąsiad, zwabiony głośnym płaczem Kukuczki i poradził synkowi, by siadł na konia i pojechał z nim do Cieszyna. Tam go odda wojsku i zbyte.

— Bo co ci powiem, to ci powiem, że jak Pismo święte mówi: oddej cesarzowi, co cesarskiego. Koń jest cesarski, jak powiado twoja matka, zakludź go cesarzowi i zbyte — zakończył z powagą, jako że był kościelnym i znał się na takich powiedzeniach.

— No dobrze, ale kiedy w Cieszynie niema cesorza!...

— Synku, jest... Każdy wojok jest cesarskiem dzieckiem, a to tak samo, jakby był som cesorzem. Nic już tu nie mądruj, jeno bier konia i wio z nim do Cieszyna i zbyte!...

Rudek usłuchał. Wsiadł na konia i pojechał, pochlipując gęsto po drodze, co mu go bardzo żal było.

Pod wieczór zajechał do Cieszyna. Przechodnie na ulicach przystawali, dziwując się Rudkowi. A on jechał dumny i jeno z góry na wszystkich spoglądał. A dla dodania sobie animuszu, podparł się w bok jedną ręką, czapkę nasunął na bakier, i bodąc piętami potulnego wierzchowca, raz wraz cmokał głośno i rozglądał się zwysoka po ulicy. Długie jego nogi zwisały pociesznie do ziemi, kołysząc się, kieby wahadła, lecz Rudek, przejęty własną wyższością, nie zważał na taką drobnostkę. Wszędzie spotykał żołnierzy z polskiemi kokardkami na czapkach. W Rudku rosło serce nad podziw. Zdawało mu się, że także jest takim żołnierzem, i to nie byle jakim, gdyż on to także przyczynił się do rozbrojenia załogi madziarskiej w Karwinie, a teraz nawet konia wiedzie w łupie. Dla zadokumentowania swej łączności z żołnierzem naczym, witał ich okrzykiem „Cześć wojocy! Pepików już tu nie mocie? Bo jo jadę na nich!...“ — i radował się, gdy żołnierze odpowiadali mu uśmiechem i przyjaznem słowem. Czasem rzucił ktoś za nim uszczypliwą uwagę, tyczącą się jego nóg rozkołysanych, lecz Rudek wcale się tem nie urażał.



Fot. J. Grabowski.

Wieś w maju.

Po oddaniu konia w dowództwie nie wiedział, co teraz z sobą uczynić. Ciemno już było, jeść mu się chciało, otłuczone pośladki dotkliwie mu dokuczały, a on tu teraz samuteńki w całem mieście, jak ta sierota opuszczona. Długo się drapał po głowie i medytował. Potem zawrócił z powrotem do koszar.

Po drodze spotkał oficera z polską odznaką na czapce. Już powziął plan.

— Pieknie proszę, panie starszy, nie mają za złe, a powiedzą mi, jakby to zrobić, żemie wzięli do wojska? — zapytał nieśmiało, mnąc czapkę w dłoni.

— Do wojska chciałbyś wstąpić? No to chodź!... Wprawdzie już mamy dosyć takich karlusów, ale jeszcze może cię przyjmą.

Rudek poszedł. Po drodze spotykali żołnierzy, którzy pozdrawiali oficera. Chłopiec cieszył się z tego, gdyż uważał, że połowa tego szacunku i jemu się należy, ponieważ idzie z samym oficerem, a z pewnością już w całym Cieszynie wiedzą, że przyprowadził konia.

Przyjęcie do wojska poszło gładko. Dano mu pojeść, potem oddano plutonowemu, zaprowadzono do izby, wskazano łóżko i kazano mu się położyć. Rudek na to tylko czekał. Strudzony całodzienną wędrówką z koniem, rzucił się jak długi na posłanie, nakrył kocem i już spał.

Nazajutrz stał się żołnierzem w przepisowy sposób. Dano mu mundur, zapisano w jakieś grube książki i po wszystkiem. Zasmakowało mu teraz nowe życie. Miał nowy mundur, dbano o niego, jak o rodzone dziecko, a chociaż tam czasem pan plutonowy trochę za głośno z nim rozmawiał, zawsze to drobnostka w porównaniu z twardą pięścią matki w domu.

Żołnierzem to on tam nie był całą gębą, bo któżby tam miał czas parać się z takim nabytkiem, zwłaszcza teraz, gdy nie było czasu na musztrę. Toć przecież każdy miał tyle zajęcia, że aż strach. To posterunki wystawiać, to magazynów strzec przed różnemi rzezimieszkami, to po mieście łazić i pijaków spędzać do domu, lub też na dworcu wystawać i przeprowadzać rewizje pociągów, zdążających z frontu serbskiego do Niemiec.

A ile to korowodów bywało przy takiej rewizji!... Rude, wychudzone, cienkie jak szczapy Niemczyska wrzeszczały każdym razem, jakby je ze skóry obdzierano, broniąc zawzięcie swych koców, karabinów i wypchanych kradzieżą plecaków. Niejeden to ze srogiego gniewu zabulgotał, jak indyk i rewolwer wyciągał na naszego żołnierzyka. Dam ja ci rewolwer!... Gdy mu taki nasz Jura czy Francek czy inny Gustlik siarczyście zapieronował i bagnet przytknął do grdyki, nadętemu Niemczyskowi miękła rura, i szczękając teraz żółtemi zębcami z przerażenia, oddawał potulnie, co było trzeba; karabiny, maszynki, koce i inne rzeczy, które ich nie były. I dopiero, gdy taki pociąg przetrząśnięto do imentu, pozwolono mu dalej jechać. Jak długo jeszcze znajdował się w obrębie stacji, Niemcy siedzieli skuleni, nie śmiejąc się wychylić ni głośniej se krzyknąć. Gdy jednak wytoczył się w pole, otwierały się raptownie wszystkie okna w wagonach, a w ich otworach wysuwały się czerwone gęby i pięści, pomstujące wniebogłosy za doznaną krzywdę.

Rudek aż się palił do takiej roboty. Pułkownik jednak jakoś go sobie upodobał i przeznaczył za gońca do swej kancelarji. Otrzymał starą tekę i kazano mu biegać z nią przez cały dzień po mieście. To na dworzec, to na pocztę, to do Rady Narodowej na Zamku, gdzie to kiedyś sam Wilhelm włodarzył, wszędzie biegał. A tak śmigał swemi kulasami i uwijał, że aż sam pułkownik dziwował się nieraz jego prędkości. Zczasem wszyscy się teraz poznali na nieocenionych przymiotach Rudkowych nóg i nikt już teraz nie kpił z ich nadmiernej długości. Przeciwnie, częstokroć podkreślano ich zaletę i chwalono, jak się patrzy.

Gdy naprzykład pułkownik zawołał Rudka i powiedział:

— Wy Kuczucz, oto list! Rżnijcie z nim do Rady Narodowej, ale raz, dwa!... — wtedy Rudek wykręcał się na obcasie, przeskakiwał po pięć schodów naraz (on to tylko potrafił) w taki zawrotny ruch puszczał swoje nogi, że aż przechodzący ludzie na boki uskakiwali i nabożnie się żegnali, pytając jeden drugiego:

— Na, cóż też ten wojok tak strasznie leci, maciczko klobucznikowo? Czy kaj gore, lebo co? Na lećmy za nim!...

I puszczali się wdyrdy za Rudkiem, przekonani, że się to naprawdę gdzieś pali. I tłum kobiet i dzieci i innych cywilów walił za nim wielką kupą, nie mogąc wydolić. A gdy się przekonano, że to się nigdzie nie pali, złoszczono się na niego i szpetnie posądzano, że widocznie coś ukradł i dlatego tak uciekał.

Rudek znów zaśmiewał się z uciechy i śpieszył z powrotem. I zanim pułkownik miał czas połowę cygara wypalić, już wpadał do kancelarji i meldował zdziwionemu dowódcy, że „jest naspadek“. Pułkownik cmokał wtedy z zadowolenia i dawał mu niewypalony cygar w nagrodę. A zadowolony Rudek siadał w sieni i kopcił zawzięcie, radując się z pułkowniczej łaskawości.

Pewnego razu wybrał się do Karwiny. Gdy wszedł do izby, matka nie mogła go poznać. Tak się odmienił. Zaczęła go ściskać i całować i po gębie głaskać, nie mogąc się nacieszyć i nadziwić jego urodzie i żołnierskiej postawie. Potem go wzięła z sobą do sąsiadów, żeby i ci mieli się czemu nacudować. Rudek stał się bohaterem dnia. W mig zeszli się jeszcze inni sąsiedzi, otoczyli go kołem, zaprowadzili do starego Fafuły na warzonkę. Rudek siadł w środku i opowiadał, a tamci wszyscy słuchali i głowami mądrze kiwali i cmokali z podziwu. A każdy się radował niepomiernie, że to już mamy polskie wojsko, i że między sobą goszczą polskiego żołnierza. A na równi z nimi radował się Rudek.

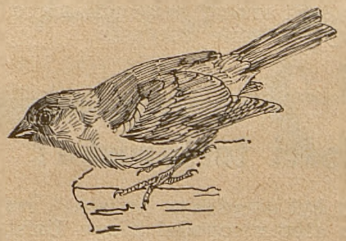
(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOHDAN DYAKOWSKI.

Pierwsze ptaki przelotne.

Po wyjątkowo surowej i długotrwałej zimie, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie, wiosna nie spieszyła się w tym roku do nas: przyroda pozostawała w uśpieniu przez cały marzec, jak gdyby ją to nic obchodziło, że przyszedł 21 marca, oficjalny, kalendarzowy jej początek.

Ukazały się wprawdzie w końcu miesiąca pierwsze zwiastuny wiosny, najwcześniejsze kwiatki — białe, zwisłe dzwoneczki śnieżyczek i błękitne, podobne do fjołków — przylaszczki; ale naogół martwo i głucho wyglą-



Zięba (Fringilla coelebs).

dała przez marzec cała przyroda, na drzewach nie było widać żadnego życia, nawet tak wcześnie, bo często już w lutym pękające kotki leszczyny, wisiały wciąż szczelnie zamknięte jak gdyby to była jeszcze pełnia zimy.

To też nic dziwnego, że i w świecie ptaków marzec nie przyniósł nam takiego ożywienia i takich zmian jak zwykle.

Ruch miejscowy zaczął się zresztą: trznadle i dzierlatki w miarę odsłonienia się pól z pod śniegu, opuszczały wiejskie drogi i podwórka i przenosiły się na szerszą przestrzeń. Ale ptaki przelotne nie śpieszyły jeszcze z powrotem do ojczyzny, która nie była gotowa jeszcze na ich przyjęcie a w każdym razie, jeśli śpieszyły, to nie tak licznie, jak w innych latach.

Bądź co bądź jednakże ruch powrotny już się rozpoczął i niektóre ptaki, chociaż mniej licznie, przyleciały do nas z taką punktualnością, z takiem trzymaniem się swojego ptasiego kalendarza, jak gdyby i wiosna nic się nie spóźniła w stosunku do kalendarzowych przepisów.

„Na Zwiastowanie (25 marca) zlatują się bocianie" — głosi dawne przysłowie i, choć w tym roku Zwiastowanie miało dość zimny charakter, już na parę dni przed tem świętem zjawiły się tu i ówdzie pary bocianów, z klekotem obsiadując stare gniazda. Co prawda, przyroda nie przygo-



Szpak (Sturnus vulgaris).



Czajka (Vanellus cristatus).

towała im gościnnego przyjęcia, pokazując im śnieg na polach i sypiąc nim od czasu do czasu z nieba. To też ciężkiby miały przednówek i możeby go nawet nie zniosły, gdyby ludzie nie zaopiekowali się tymi swoimi odwiecznymi towarzyszami i nie podkarmiali ich, zanim warunki samodzielnego ich żywienia się nie uległy poprawie.

Ale nietylko takie większe ptaki odważyły się na wczesny powrót do ojczyzny, pomimo spóźnionej wiosny. Przyleciało już też trochę i tego skrzydlatego, świegotliwego drobiazgu, co tak mile ożywia z wiosną nasze gaje, lasy i ogrody.

No przecież nie było u nas w zimie np. tego oto ptaszka, który tam podskakuje po alei parku miejskiego a potem tak ufnie siada na poręczy ławki, choć jesteśmy oddaleni od niego zaledwie o parę kroków.

Podobny jest trochę do wróbla zarówno wielkością, jak i ubarwieniem, a jeszcze bardziej kształtem krótkiego, grubego, stożkowatego dzioba. Ale widać odrazu, że to nie wróbel. Ubarwienie jego jest znacznie ładniejsze, nie takie skromne, szare jak wróbla, ma ono piękny kasztanowaty ton, który na głowie przechodzi w modro-popielatą jakby czapeczkę, pierś jest czerwona a na skrzydłach widać jaskrawe przepaski — białą i żółtą.

To też to nie jest wróbel, ale zięba, bliski zresztą jego krewniak, jak tego dowodzi taki sam dziób, który mu pozwala karmić się także i ziarnem i dzięki któremu nie potrzebuje czekać z powrotem, aż się cały świat obudzi ze snu zimowego.

I ten ptaszek, co w tej chwili wybiegł z pod krzaków, również nie spędzał u nas zimy, lecz powrócił niedawno z zamorskiej podróży.

Ale ten to już wcale nie jest podobny do wróbla: znacznie większy, z długim, prostym i mocnym, żółtym dziobem, wyraźnie i jaskrawo odbijającym od jednolitej, czarno-szarej barwy jego upierzenia. Ponury ptak w kolorze, ale jaki wesoły z ruchów i zabawiania się!

To poczciwy i miły szpaczek, tak chętnie osiedlający się w skrzynkach, zawieszonych na drzewach na gniazda dla ptaków, szpaczek zwodziciel, umiejący naśladować doskonale najrozmaitsze głosy i dźwięki, a i swą barwą również zwodzący: nie zawsze jest tak skromnie ciemnoszara jak w tej chwili. Niechaj tylko ukaże się słońce i niechaj go oświetli swojemi promieniami, a pióra jego zaczną się mienić metalicznym odblaskiem, migotać tu fjoletem, tam szafirem lub zielenią.



Skowronek (Alauda cristata).

A cóż znowu za gwar dochodzi z wierzchołków tych rozłożystych topoli?

Podnosimy głowy i widzimy gromadkę czarnych gawronów, uwijających się z właściwym sobie hałasem i obierających sobie miejsca na gniazda.

Te ptaki nie przyleciały zdaleka, nie opuszczały bowiem naszego kraju, ale tułały się tu i ówdzie, przenosząc się z jednej miejscowości do drugiej w poszukiwaniu jedzenia. Więc zjawienia się ich w ogrodzie nie możnaby było jeszcze uważać za dowód skończenia się zimy: niewątpliwym jednak objawem poczynającej się wiosny jest to ich zabieranie się do budowy gniazd.

Słowem choć drzewa jeszcze zupełnie bezlistne, choć nawet pączki ich są jeszcze zupełnie uśpione, zaczął się już ruch wśród ptasząt leśnych i ogrodowych, codziennie powiększa się ich liczba. Na polu panuje również większe ożywienie: powróciły już ze wsi dzierlatki i trznadle i słychać wesołe świegotanie skowronków.

Nad wodami czajki unoszą się oddawna, bo ptaki te należą do najwcześniej powracających do kraju. Ukazały się także kaczki dzikie, przyleciały czaple.

Kwiecień powiększy jeszcze bardziej liczbę ptaków, przylatujących z południa, bo cała przyroda będzie się coraz wyraźniej budzić z uśpienia zimowego, coraz więcej będzie zieloności, coraz więcej owadów. Będzie więc łatwiej i o bezpieczny kącik na gniazdo i o pożywienie.

To też u nas bodaj że to najdogodniejszy miesiąc do obserwowania ptaków: drzewa okryte dopiero co rozwijającą się zielonością, nie mają jeszcze gęstych, cienistych letnich koron i ptaka znacznie łatwiej podpatrzeć na ich gałęziach teraz niż w pełni lata. A że jednocześnie wiosna wyciąga ludzi z mieszkań na powietrze, na spacery i wycieczki — korzystajmy więc z tego, zajmijmy się obserwowaniem, które z naszych ptaków przelotnych już wróciły a których jeszcze niema i kiedy się zjawią. A może jeszcze kto nie widział nawet i tych najwcześniejszych,

o których mówiliśmy dzisiaj? Niechaj bacznie się przygląda i śledzi, a pewno zobaczy je wówczas.

A kto pierwszy i kiedy zauważy miłe jaskółeczki, z których każda z osobna nie stanowi jeszcze wiosny („jedna jaskółka wiosny nie stanowi"), ale gdy zaczną gromadką uwijać się w powietrzu, to znaczy, że powróciły już w większej liczbie — stanowi to niezbity dowód, że wiosna jest już dobrze posunięta, że zima została już gdzieś daleko w tyle za nami.

Kto i kiedy zobaczy pliszkę siną? komedjanta dudka z czubkiem? złocisto-żółtą wilgę z czarnemi skrzydłami? kto i kiedy usłyszy wesołe kukanie kukułki? miły śpiew słowika? A może kto zauważy jeszcze jakiego innego ptaszka, nie wspomnianego tutaj.

W przyrodzie jest zawsze coś do obserwowania: trzeba tylko umieć patrzeć i postawić sobie wyraźny cel, co mamy obserwować.

Na wiosnę obserwowanie ptaków jest bardzo odpowiedniem i miłem zadaniem. Trzeba tylko pamiętać, że robić to należy tak, aby ich nie płoszyć ani nie wyrządzać im żadnej wogóle krzywdy.

Gdy zobaczymy ptaszka nieznanego nam, przyjrzyjmy mu się dobrze, a potem spytajmy kogo o nazwę, opisując możliwie dokładnie jego wygląd, albo poszukajmy go w jakim atlasie. Jeżeli to jest ptak przelotny i widzimy go pierwszy raz w tym roku, zanotujmy sobie, kiedyśmy go zobaczyli a wiadomością tą podzielmy się z kolegami i znajomymi. Z takich spostrzeżeń nad przylotami ptaków w różnych okolicach kraju można wyprowadzić ciekawe wnioski o ich życiu i obyczajach. Robiąc zaś spostrzeżenia przez parę lat z rzędu, można porównywać różnice w terminach przylotów i szukać przyczyn, które wywołały opóźnienie lub przyśpieszenie przylotu.

Co nam powiedzieć mogą o przeszłości torfowiska?

Przypuszczam, że niejeden z czytelników przetrze zdumione oczy, przeczytawszy tytuł poniższej pogawędki: Co nam powiedzieć mogą torfowiska? Przecie torfowiska nie mogą mówić, tem samem nic nam nie mogą powiedzieć! Takby się przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawać mogło, ale dodajmy odrazu, że wydawaćby się mogło niezupełnie słusznie! Bo mówić mogą nietylko ludzie i nietylko istoty ożywione, ale także rozliczne zabytki przeszłości, a więc np. stare budowle lub pomniki. Mówić mogą o tej właśnie przeszłości, której są śladem! Tak to nam mówią o przeszłości mury starych zamczysk lub starych kościołów! W podobny także sposób mówić mogą torfowiska, bo i one są również zabytkami i to zabytkami wiele dawniejszemi niż najstarsze ruiny miast.

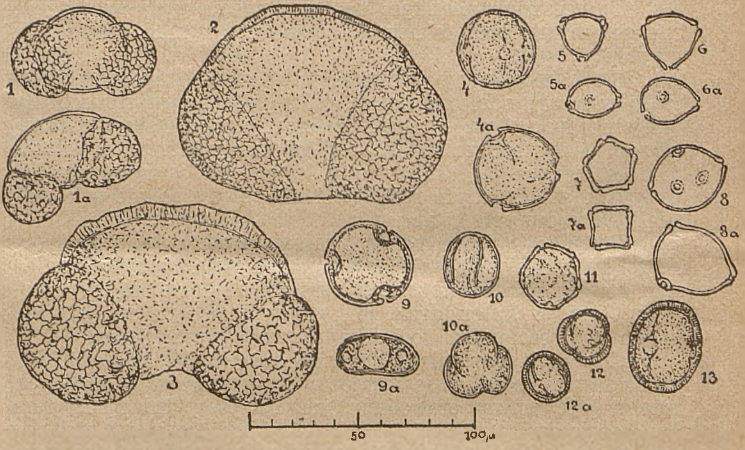
Cóż to są bowiem torfowiska? W przeważającej ilości wypadków są to podmokłe łąki, porośnięte szczególną roślinnością, a mianowicie t. zw. kwaśnemi trawami czyli gatunkami turzyc lub wełnianek. Powstawały one w jakiemś zagłębieniu ziemi napełnionem wodą, w którem osiadały pierwsze rośliny. Znalazłszy dogodne warunki rozwoju, rośliny owe rosły przez pewien okres czasu, poczem zamierały. W miarę jak zamierały jedne, narastały na ich szczątkach nowe. Dzięki obecności wody i odcięciu od powietrza, te zamarłe rośliny nie zgniły zupełnie i rozsypały się w proch, ale zachowały się w szczątkach po dziś dzień, dając masę roślinną, którą znamy wszyscy, pod nazwą t o r f u. Ta masa wypełnia całą grubość torfowiska od jego powierzchni po jego dno.

Torfowiska porastała nie zawsze zresztą ta sama roślinność, nie zawsze tylko owe kwaśne trawy o jakich wspomniano powyżej. Gdy warunki klimatyczne zmieniały się na bardziej suche, pojawiać się mogły na torfowiskach drzewa, np. sosna lub brzoza, a z nimi rośliny towarzyszące: wrzosy, widłaki, borówki. Gdy gatunki stawały się bardziej wilgotne, pojawiały się na nich kępy mchów torfowych lub roślinności bagniskowej.

Szczątki takiej różnorodnej roślinności gromadziły się warstwa na warstwie, w miarę tego torfowiska rosły, powiększając swoją miąższość. Utworzone z nierozłożonej zupełnie masy roślinnej, mieszczą one zatem w całem swojem wnętrzu szczątki różnorodnych roślin, jakie je niegdyś porastały, a więc ułamki ich łodyg i liści, owoce i nasiona, a nawet pyłek kwiatowy.

Szczątki te pozwalają nam odtworzyć rozwój i zmiany jakie przechodziła roślinność w pewnym okresie czasu, mianowicie w tym okresie, w którym torfowisko istniało. I nietylko roślinność, ale także klimat, bo między roślinnością a klimatem zachodzi pewnego rodzaju równoległość, tak, że ze zmian w roślinności, jakie uwidaczniają nam różne warstwy torfowisk, wnosić możemy również o zmianach klimatu. Trzeba było przekopać torfowisko, pozbierać z różnych jego głębokości próbki torfu i w próbkach tych wyszukać szczątki roślinne. Szczątki te trzeba następnie rozpoznać, t. j. określić, do jakich roślin one należały. Rozpoznać je można albo gołem okiem albo przy pomocy powiększających szkieł mikroskopu, zwłaszcza musimy ich użyć wtedy, gdy szczątki zamarłe w torfie są bardzo drobne, tak drobne, że ich gołem okiem rozpoznać nie możemy. Takiemi nader drobnemi szczątkami są np. ziarenka pyłku, tego samego pyłku, jaki zawierają pręciki wszystkich naszych kwiatów. Pyłek ten ukryty był niegdyś w kwiatach roślin, które rosły na torfowisku albo nieopodal niego. Dzisiaj po zamarciu tych roślin, pyłek ich znajduje się w torfie, można go w tym torfie pod mikroskopem wyszukać, rozpoznać i określić, do jakiej rośliny należy. Można go określić, bo pyłek różnych roślin ma różny wygląd i różną wielkość.

Widać to dobrze na rycinie, która przedstawia pyłek najpospolitszych gatunków drzew. Pyłek drzew spotykamy w torfie bardzo często, ponieważ drzewa rosną



Pyłki różnych gatunków drzew:

1 i 1a sosna, 2 świerk, 3 jodła, 4 i 4a buk, 5 i 5a brzoza, 6 i 6a leszczyna, 7 i 7a olcha, 8 i 8a grab, 9 i 9a lipa, 10 i 10a dąb, 11 wiąz, 12 i 12a wierzba.

zwyczajnie gromadnie, tworząc lasy, a ponadto produkują pyłek w dużych ilościach. Można to widzieć nader dobrze np. u sosny, gdy kwitnąc w maju, wytwarza całe chmury żółtego pyłku, podobnego do drobno rozpylonej siarki. Pyłek taki da się w torfie rozpoznać i na tej podstawie można określić jakie drzewa rosły w pewnym okresie czasu, a w następstwie także jaki podówczas panował klimat. Jeśli np. wiemy, że jodła wymaga do swego życia łagodnego, dość ciepłego i wilgotnego klimatu, to możemy wnosić — jeśli pyłek tego drzewa znajdziemy w większej ilości w pewnej warstwie torfu — że wówczas gdy ta warstwa torfu tworzyła się, panował właśnie klimat łagodny, który pozwolił, że drzewo to mogło podówczas rosnąć, kwitnąć i wytwarzać pyłek. Jeśli znowu w innej warstwie znajdziemy tylko pyłek brzozy i sosny, drzew mało wymagających, a brak będzie pyłku innych drzew, to znowu możemy z tego wnosić, że klimat podówczas panował dość surowy i chłodny, bo tylko taki klimat mógł uniemożliwić życie szlachetniejszym gatunków drzew, a pozwolić na rozwój sosny i brzozy.

To wszystko i wiele jeszcze innych rzeczy wyczytać się da z torfowisk, trzeba je tylko poddać umiejętnemu badaniu. Podobnie jak stara księga kryją one w swem wnętrzu historję dawnych lat i opowiadają ją temu, kto je jak księgę odczytać potrafi. *K.*



(Ciąg dalszy)

— Dwanaście kilometrów, to niedaleko.

— Ale samochód mógł zboczyć — zauważył Jacek.

— Zresztą zastęp nadejdzie z mapą.

— Słuchaj! A możebyśmy poszli dalej. Nic nie zyskamy czekając tutaj na zastęp, a ślady kół tymczasem się zatrą. Reszta zastępu pójdzie za nami po znakach.

Jacek chętnie zgodził się na ten projekt i wkrótce chłopcy dążyli szybkim krokiem po wyraźnych śladach opon, szosa bowiem rzadko była uczęszczaną, gdyż nie łączyła żadnych większych miejscowości. Po dobrej godzinie marszu harcerze stanęli na skrzyżowaniu dróg, gdzie stał drogowskaz, niestety z oberwanemi ramionami.

— Oto drogowskaz — zawołał Staszek — musimy zbadać dokładnie, w którą stronę auto skręciło. Czemuż ty się tak dziwisz?

Jacek stał, spoglądając wokoło szeroko otwartemi ze zdumienia oczyma.

— Tak! ja się nie mylę — ja tu już byłem.

— Co? Ty byłeś tutaj! Kiedy? Przecież opowiadałeś, że nie znasz tych stron.

— Tak — napewno tędy przechodziłem — ta droga na lewo wiedzie prosto do czernickich lasów, ta na prawo do zamku na Liwiu. Byłem tu bezpośrednio po przyjeździe z Karpat. Nie zdołałem przecież opowiedzieć Ci mych przygód i wytłumaczyć skąd się tu wogóle znalazłem. Przyjechałem z listem od mego ojca do hrabiego Karola Drohojowskiego. Długi czas błądziłem, aż wreszcie dopytałem się o drogę, znalazłem zamek i oddałem list. Powiedziano mi jednak, że adresat umarł. Nikt się o mnie nie zatroszczył, z zamku mnie prawie wyrzucono, nie wiedziałem, co począć z sobą, dokąd się udać. Przyszedłem tą drogą, na te rozstaje i schroniłem się do lasu. Dalej już wiesz, co się stało.

Auto skręciło w stronę zamku. Niedaleko stąd leży mała wioska, licząca parę chałup. Z pewnością żaden z jej mieszkańców nie jest właścicielem samochodu.

— Auto więc pochodzi z zamku.

— Dlaczego mnie stamtąd wyrzucono? Mój ojciec nie przysłał mnie tu bez przyczyny. Ten zezowaty powinien był mi dać jakieś wyjaśnienie. Wiem, co mam robić, pójdę i zapytam się, a ty poczekaj tu na zastęp.

— Nie! — odezwał się Staszek po chwili milczenia. — To nie byłoby bezpieczne. Może między porwaniem Józka a twoją tajemnicą zachodzi jaki związek. Raczej ja pójdę, mnie nikt w zamku nie zna.

Nie bez wahania przystał Jacek na decyzję towarzysza, a kiedy ten niknął wśród łanów falującego zboża, zmęczony przygodami ostatniej nocy, wytężającym marszem i głodem zasnął, sam nawet nie zdając sobie sprawy kiedy.

Obudził go jakiś krzyk. Równocześnie uczuł, że zwaliła się na niego gromada ludzi, na głowę zarzucono mu płachtę i całego w nią go owinięto tak, że się nie mógł nawet ruszyć.

Huragan wesołego śmiechu uświadomił mu dopiero, kim są napastnicy. To zastęp, zaalarmowany przez „oko", które znalazło śpiącego Jacka, przyczołgał się i zaimprowizował napad.

— Aleście mnie dostali! Chwała Bogu, że już jesteście. Czy macie coś do jedzenia — wołał Jacek ze śmiechem, wyswobodziwszy się z krępujących więzów.

— Pełny wóz! „Co pan raczy pozwolić?" Przywieźliśmy też mundur dla ciebie. A gdzie Staszek? — wypytywał zastępowy.

— O to długa historja, poczekajcie chwilę, a opowiem wam wszystko, co się działo od naszego rozstania.

Raport Jacka wzbudził zrozumiałe zdumienie chłopców, ale czas szybko umykał, postanowiono więc rozbić biwak i przy ognisku omówić całe zdarzenie.

— Jak nas znajdzie Staszek — zapytał Janek Szalajko.

— O niego się nie martw. Ten się nie zgubi! — uspokajał zastępowy. — Ostatecznie zostawimy mu znak, by trafił do obozu. Ognisko rozpala dziś Jacek.

Odnalezienie Józka.

Osiedle, o którem wspominał Jacek, nie było zbyt wielkie. Kapliczka, jedna chałupa i zajazd — oto wszystko. Do koleji było stąd ośm mil.

Około czwartej po południu ujrzał Staszek kapliczkę. Głodny był i zmęczony i niewielką miał nadzieję, czy dostanie co do zjedzenia w tak małej wiosce. Na widok szyldu gospody ucieszył się też niepomiernie.

W drzwiach powitała go dobrotliwie wyglądająca kobieta.

— Cóż cię tu chłopcze sprowadza? Ty jesteś harcerzem — nieprawdaż? Pewnie zabłądziłeś. Tędy niewielu ludzi przechodzi, tylko ci, którzy udają się do zamku.

— Nie zabłądziłem, ale jestem głodny, jak wilk. Czy mogę dostać za złotego jakiejś lemonjady i coś do zjedzenia?

Kobieta chwilę milczała, a potem rzekła z szorstką łaskawością:

— Eh! zostaw sobie tę złotówkę, mój chłopcze. Ja też mam takiego chłopca, jak ty. Pracuje w Brześciu. Dostaniesz kawałek chleba i kiełbasy, a herbatę właśnie gotują. Wejdź do środka, nie często nas tu odwiedzają.

Dzięki tej gościnności Staszek za chwilę zaspokoił głód — i ciekawość nietylko gospodyni, ale i swoją.

— A cóż cię tu sprowadza? Ćwiczenia jakie macie?

— O, tak! — przytaknął. — Właśnie uczymy się rozpoznawać samochody po śladach, bo to, wiecie, każdy samochód inne ślady zostawia Za jednym aż tu się zapuściłem Musiał niedawno tędy przejechać.

— Tu jest tylko jeden samochód — ze zamku. Pan Janusz nim jeździ. Dawniej, gdy żył stary hrabia Hubert, to inaczej bywało, ale ten Janusz — ot! szkoda mówić...

— Słyszałem, że właścicielem zamku jest hrabia Karol Drohojowski.



Fot. J. Grabowski.

Rozkwitły sad.

— Tak, ale on ciągle podróżuje po jakiejś Afryce. Pan Janusz, to jego siostrzeniec i będzie dziedziczył, jeśli hrabia Karol umrze bezdzietny.

— Jakto to on jeszcze nie umarł? — zawołał Staszek zdumiony, przypominając sobie opowiadanie Jacka.

— Cóż tobie do głowy przyszło. Mówiłam tylko, że ciągle podróżuje.

Staszek zadumał się, usłyszawszy to wszystko. Czemuż ten Jacek nie wstąpił do tej gospody i nie wypytał się należycie.

— A nie widziała tu pani przed paru dniami wysokiego, rudego chłopca?

— A był, owszem Dziwny chłopiec, nic nie mówił, pytał się o drogę do zamku i tak się gdzieś nagle podział, jak się zjawił.

— A jak wygląda ten pan Janusz?

— Zezowaty — a to nikomu nie przysparza piękności.

Staszek ledwie zdołał powstrzymać okrzyk radości. Więc to ten nieznajomy, który odwiedził cygana i z nim uwiózł Józka.

— To dziwny człowiek. Często wyjeżdża późną nocą i wraca dopiero rano, nie ma żadnych przyjaciół, sam mieszka w zamku, prawie bez służby. Pan Hubert to był prawdziwy pan i pan Karol też. Szkoda, że się tak gdzieś tuła.

To, co usłyszał, wystarczyło Staszkowi. Podziękowawszy też pięknie za gościnne przyjęcie, skierował się w stronę zamku. Zastanawiał się wprawdzie chwilę, czy ma tropić dalej na własną rękę, czy też wrócić do Jacka, ale zdecydował szybko, że, skoro wie, gdzie się Józek znajduje, powinien tam pójść.

Oczywiście o wejściu do zamku nie było mowy i Staszek poprzestał tylko na zaglądnięciu przez kraty zamkniętej bramy do środka ogrodu, w którym, u końca starej alei, rozłożyło się stare, potężne zamczysko.

Od bramy szły w obie strony mury, otaczające park zamkowy. Staszek puścił się wzdłuż jednego w nadziei, że może skończy się wkrótce. Jakoż się mylił, bo wkrótce rozpoczął się żywopłot, przez który można było obserwować ogród.

Akuratnie ukazały się w nim dwie postacie. W jednej Staszek poznał Szczawińskiego, drugim zapewne był Janusz.

Cóż dałby, gdyby mógł podsłuchać, o czem mówią. Może Janusz wtajemnicza Szczawińskiego w swe plany. Trzeba było jednak być ostrożnym i nie zdradzić, że harcerze są już na tropie swego druha. Staszek pobiegł więc dalej wzdłuż żywopłotu, natknął się potem znowu na mur, i rowem go otaczającym szedł dalej, aż z poza muru dojrzał jakieś zabudowania.

Myśl jego nieustannie obracała się koło Józka. Gdzie się znajduje? Czy nie grozi mu co złego? Ach! jakby to było ładnie, gdy on mógł go oswobodzić. Jaką sławą otoczyłby swój totem! Z jakiem uznaniem odnosiłyby się do niego wydry! Słyszał już w duchu pochwały — gdy nagle stanął na jakichś deskach i zanim mógł się zorjentować — nastąpił trzask — ziemia zapadła mu się pod nogami i runął w ciemną przepaść.

W chwilach takiego niebezpieczeństwa myśl ludzka ogarnia całe życie, więcej całe wieki. Staszek odczuł to również — a równocześnie cisnęły mu się pytania — gdzie leci, czy to dół, czy studnia, czy utopi się, czy rozbije głowę na kamieniach...

Upadek przerwał błyskawice myśli. Wstrząs po nim nastąpił potężny — ale właściwie Staszek uczuł, że spadł cało dzięki kupie zeschłemu listowiu, które się nagromadziło w dole od lat i ochroniło go od nieszczęścia.

Cóż począć teraz? Wołać o pomoc? Któż go usłyczy? Szczawiński? Złapie go wtedy, jak w pułapce!

Przeklinał swą nieopatrzność, to znów z rezygnacją przykładał ręce do ust i już chciał wołać, gdy oczy, przyzwyczaiwszy się do ciemności, dostrzegły kamienne schody, prowadzące gdzieś w dół.

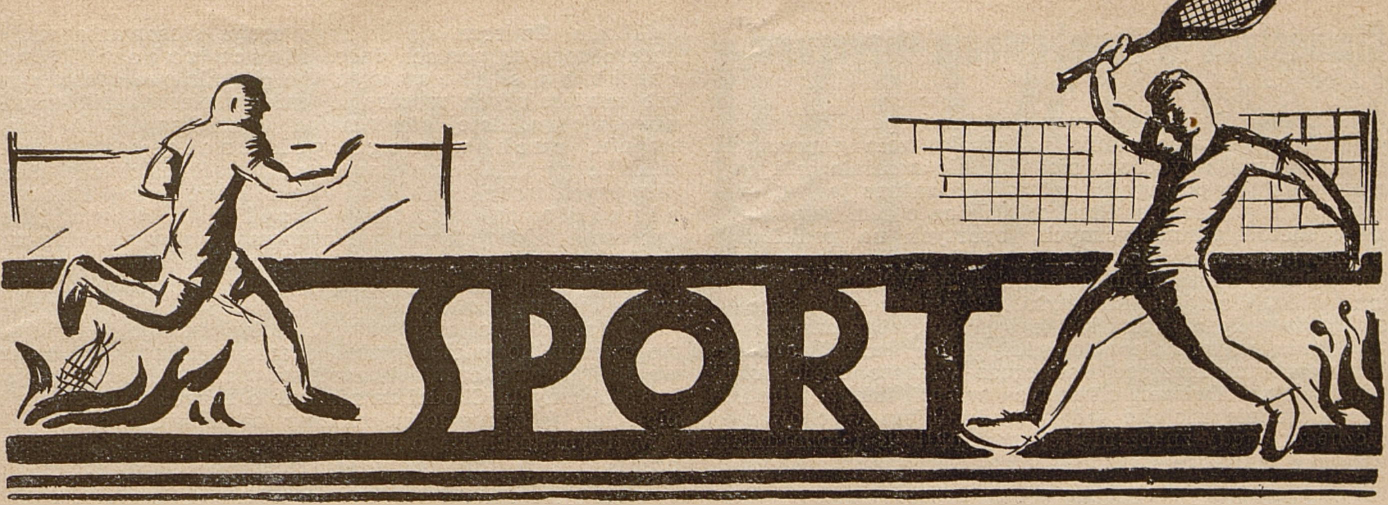
(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z męskiego hufca w Nowym Sączu.

Z początkiem b. r. uległ zmianie skład Komendy Hufca: w miejsce ustępującego hm. Eugenjusza Pawłowskiego objął stanowisko hufcowego dh. Roman Hasslinger.

W dn. 23 i 24 lutego odbyły się tu zawody narciarskie o mistrzowstwo chorągwi krakowskiej zorganizowane przez Komendę Hufca łącznie z Sekcją Narciarską P. T. T. „Beskid". Mistrzem w biegu 8 km został dh. Zubek (N. Sącz), w biegu 4 km dh Kozłowski (Kraków). Mistrzowstwo w biegu patrolowym uzyskała reprezentacja hufca nowosądeckiego. Zawodom przyglądało się około 2 000 publiczności. Niestety nie dopisali harcerze zawodnicy z poza Sącza, których było zaledwie kilku.

III druż. zorganizowała oddział p. w. dzięki życzliwej pomocy kap. Sokołowskiego oraz por. Fijałkowskiego. Obecnie organizuje się jeden większy oddział p. w. z całego hufca. *(p.)*



Obecny sezon nie należy w sporcie do bardziej interesujących. Przewlekającą się zima nie dopuszcza do rozwinięcia się okresu wiosennego, który po inne lata był już w całej pełni. Wpłynie to niewątpliwie na sezon letni, gdyż w tak złych warunkach trudno należycie przygotować się do zawodów głównych w lecie. W okresie tym niema też większych zdarzeń. Wszyscy przeżywają wrażenia świetnego w tym roku sezonu zimowego, który przyniósł nam sukcesy w Zakopanem i Budapeszcie w narciarstwie i hokeyu lodowym, i obmyślają dopiero działalność na sezon letni. W momencie gdy narciarze przeszli swoje terminy zawodnicze wraz z hokeistami i łyżwiarzami, pływacy, wioślarze, kolarze, czekają na polepszenie się warunków i możliwości treningu na otwartem polu. Lekkoatleci kontentować się muszą skromniejszemi niż zwykle zawodami w biegach na przełaj i zawodami w krytych halach, które, dzięki Bogu, zaczynają się pojawiać w każdem większem mieście ożywiając ospały trochę sezon przejściowy. Tylko piłkarze rozpoczęli swą doroczną młockę ligową, gromadząc na boiskach tylko znikomą ilość publiczności, gdyż trwające zimno bynajmniej nie zachęca do trwania na trybunach przez dwie godziny.

Niewątpliwem ożywieniem był match bokserski rozegrany w Katowicach między reprezentacjami Polski i Czechosłowacji, przyczem zwyciężyła Polska w stosunku 12:4. Jest to sukces niewątpliwy, gdyż boks polski zalicza się przecież do najmłodszych u nas gałęzi sportu i do niedawna byliśmy stale na tem polu bici. Sukces ten będzie bogaty w skutki, gdyż jak każde zwycięstwo, zachęcił polskich bokserów do dalszej wytężonej pracy, której owoce nie dadzą zapewne długo na siebie czekać.

Z rozpoczynającego się sezonu lekkoatletycznego warto wymienić bieg na przełaj, który odbył się podczas Wielkiejnocy w Łodzi. Bieg był o tyle ciekawym, że był pierwszym z długiego szeregu biegów, które mają rozstrzygnąć zagadnienie kto lepszy czy Kusociński czy Pietkiewicz. Dotychczas po tym biegu okazał się lepszym Pietkiewicz, który zajął pierwsze miejsce, drugim był Starosta z Łodzi, trzecim dopiero i to o 250 metrów był Kusociński na którego usprawiedliwienie dodać trzeba, że odbywa obecnie służbę wojskową, której trudy nie wpływają zapewne na jego dobrą formę.

Imprezą tylko poniekąd lekkoatletyczną był doroczny maraton polski, Sulejówek—Warszawa, rozegrany drużynowo 19 marca w Warszawie. W klasyfikacji ogólnej i zarazem klasyfikacji zespołów wojskowych zwyciężył 33. pułk piechoty. W klasyfikacji drużyn strzeleckich zwyciężyła drużyna lubelska, w grupie organizacji innych oddział policji z Żyrardowa, w grupie kobiet: Sosnowiec. Ciekawą jest rzeczą, że znakomita drużyna harcerska, która w swym składzie posiadała tak dobrych lekkoatletów jak Foryś, Kostrzewski i inni przyszła dopiero na ósmem miejscu, udawadniając fakt, że każdy bieg musi mieć swoje specjalne przygotowanie. Równocześnie wskazuje to na fakt, że wśród naszych żołnierzy mamy szereg talentów sportowych długodystansowych, którymi należałoby się zająć racjonalnie.

Boje piłkarskie, które drużyny ligowe już rozpoczęły, ożywiają dyskusję każdego zapamiętałego sportowca. Narazie odbyły się cztery matche ligowe, które przyniosły zwycięstwo: ŁKS nad Polonią warszawską w stosunku 4:2, Warcie poznańskiej nad Turystami w Łodzi w druzgocącym stosunku 7:1, Ruchowi z Wielkich Hajduków nad stołeczną Legją 2:1, i zeszłorocznemu mistrzowi Ligi Wiśle nad Warszawianką w stosunku 4:2, co nie wskazuje wcale na świetną formę mistrzowskiej drużyny. Z matchów innych niespodzianką było wysokie zwycięstwo najmłodszej drużyny ligowej, bo KS Garbarnia Kraków nad rutynowanym zespołem Cracovii w stosunku 4:0. Wskazuje to na zupełnie uzasadnione wejście do Ligi Garbarni, oraz zapewnia temu zespołowi szereg sukcesów w rozgrywkach ligowych. W okresie świątecznym odwiedził Polskę szereg drużyn zagranicznych, rezultatem jednak tych odwiedzin będzie niewątpliwie tylko deficyt w kasach klubów, gdyż zimne i niezdrowe powietrze nie przyciągnęło wielu zwolenników piłki. Zagranicą dwa szczególnie momenty pociągały ogólne zainteresowanie. Były to: próba pobicia rekordu światowego szybkości automobilu przez majora Seagrave oraz doroczny bieg ośmiowiosłówek między osadami Oxford i Cambridge. Major Seagrave, znany zaszczytnie ze swej działalności na torach wyścigowych całego świata przygotował się bardzo sumiennie do rekordu. Według jego planów zbudowano specjalny wóz wyścigowy, który otrzymał nazwę Złota Strzała. Pozatem poświęcił on dużo czasu na trening na torze Dayton na Florydzie. Próbo powiodła się znakomicie, gdyż osiągnął on szybkość 374 km. na godzinę. Wyśrubowana ta wysokość nie daje spać współzawodnikom majora Seagrave, z których jeden, próbując rekordu na tym samym torze w Dayton, nie tylko że rekordu nie pobił, lecz rozstrzaskał siebie i wóz, w rezultacie czego władze zamknęły tor wyścigowy w Dayton na przeciąg jednego roku. Major Seagrave próbował także pobicia rekordu na łodzi motorowej, lecz rekord jego trwał zaledwie kilka dni i został pobity przez Amerykanina Gar Wood, który osiągnął szybkość 174 km. na godzinę.

Regaty Cambridge—Oxford były jak zwykle ewenementem dla społeczeństwa i to nietylko angielskiego. Wysoki poziom biegu, jak również pieczołowite przygotowanie jakie przechodzą obydwie osady przez przeciąg pół roku i to w czasie najmniej sprzyjającym, bo w miesiącach zimowych, jest przyczyną, że bieg ten gromadzi tysiące publiczności na brzegach Tamizy, a miljony słuchaczy przy aparatach radjowych i przed redakcjami pism. Bieg tegoroczny był szczególnie ważny, gdyż obchodzono stuletnią rocznicę regat. Przed biegiem zjechały tor dwie osady w kostjumach z r. 1829, poczem dopiero wyruszył właściwy bieg. Na starcie zdobyła lekką przewagę osada Oxfordu, lecz po chwili Cambridge wysunął się na czoło i bez niepokoju wygrał bieg o siedm długości. Bieg odbywał się 81 raz. Przyczem obydwa uniwersytety wygrały po 40 razy a raz bieg był nierostrzygnięty. Zaznaczyć należy, że zwycięstwo to jest szóstem zrzędu osady Cambridge bez przerwy, co jest w historji niezmiernie rzadkim wypadkiem.

Znaczna ilość imprez polskich zgrupowana jest około powszechnej wystawy w Poznaniu. Wspomnieć również trzeba, że tegoroczne mistrzostwa Europy w wioślarstwie odbędą się na znakomitym torze w Brdyujściu pod Bydgoszczą.

Gimnastyka w wychowaniu fizycznem.

II.

Pomimo olbrzymiego rozwoju gier i sportów i słusznego ich rozpowszechniania w szkole, rola gimnastyki w wychowaniu fizycznem nietylko nie zmalała, ale owszem wzrosła w powagę i znaczenie, a zakres jej wpływu rozszerzył się znacznie. Przekonuje nas o tem wspaniały rozwój metod gimnastycznych, opartych na podkładzie systemu genjalnego Szweda Piotra Henryka Linga, jaki obserwujemy w ostatnim dziesiątku lat w krajach skandynawskich. Wartość gimnastyki tyczy się nietylko szkoły, ale i każdego sportowca i każdego przeciętnego człowieka. Jeżeli przytem uprzytomnimy sobie nasze warunki klimatyczne, zmuszające nas przez większą część roku do uprawiania ćwiczeń cielesnych w sali, tak, że gimnastyka staje się niejako jedynym środkiem wychowania fizycznego, wtedy znaczenie jej uwypukli się tembardziej.



Na szczycie Małej Baranicj. Fot. W. Chromiński

Gimnastyka w szkole jest nietylko środkiem, zmierzającym do utrzymania zdrowia, rozwoju ciała, czy nawet poprawy błędów postawy, lecz także pierwszorzędnym czynnikiem wychowawczym, zwłaszcza jeśli chodzi o rozwój charakteru i woli. Ewolucja metod gimnastycznych poszła tedy z jednej strony w kierunku wskazanym jej przez rozwój nauk biologicznych i doświadczeń fizjologicznych. Wyraziło się to przedewszystkiem w znacznem ograniczeniu, a nawet odwróceniu się od ćwiczeń, operujących wysiłkiem mięśniowym, pozbawionym efektu ruchowego, a daniu przewagi żywemu i energicznemu ruchowi i dynamice, to jest szybkiemu przechodzeniu od skurczów do rozkurczów mięśni. Ten bowiem rodzaj pracy najbardziej sprzyja prawidłowemu funkcjonowaniu organów krążenia krwi i oddychania, oraz rozwojowi mięśni.

Z drugiej strony zwrócenie uwagi na psychologiczną stronę gimnastyki, zaniedbywaną dotąd raczej na korzyść strony zdrowotnej, korektywnej, niepomiernie rozszerzyło horyzonty i wpływy wychowawcze gimnastyki. Przedewszystkiem tedy wielką wagę przywiązuje się do nastroju, do wywołania radości i swobody, wyzwalającej energję nerwową i pobudzającej wszystkie funkcje organiczne do żywszego, a błogosławionego w skutkach działania. Zmierza się do tego drogą stosowania ruchu naturalnego w postaci dużej ilości zabaw i ćwiczeń t. zw. stosowanych, o charakterze sportowym, lub zawierających w zdrowej mierze pierwiastek współzawodnictwa, dalej stosowania, w większym niż dotąd stopniu, ruchów mogących znaleść zastosowanie praktyczne w życiu, podkreślenie elementów psychicznych, jak ćwiczenie woli, opanowanie ciała, moment niebezpieczeństwa, przez ćwiczenia takie jak zwisy, równowaga na wysokich przyrządach, skoki, a zwłaszcza skoki strumieniem (t. j. wykonane jeden po drugim bez przerw), wreszcie zastosowanie ruchu rytmicznego.

Ważnem jest również zróżniczkowanie metody w zastosowaniu do wieku i płci, oparte na starannej obserwacji i doświadczeniach zarówno psychologicznych, jak i praktycznych. Chodzi tu nie tyle o zakres ćwiczeń i stopień ich intenzywności, zależny od rozwoju ciała, siły i wytrzymałości, ile o rodzaj ćwiczeń, sposób ich powodzenia i t. p. (np. opowieści ruchowe dla dzieci, rytm, ruchy plastyczne, pląsy dla kobiet).

W tej dziedzinie zresztą jesteśmy zaledwie w początkach, gdyż wogóle psychologja ćwiczeń cielesnych jest rzeczą zupełnie nową i niewyzyskaną. Można się zaś wiele po niej spodziewać i oczekiwać jeszcze większego wzrostu znaczenia gimnastyki i jej wpływu wychowawczego.

W świetle dzisiejszego stanu wiedzy w naszej gałęzi, dawne podziały gimnastyki na wychowawczą, leczniczą, wojskową, czy estetyczną nie ostały się, a elementy wszystkich razem przenikają się wzajemnie. Najważniejsze znaczenie zachowała gimnastyka wychowawcza (głównie szkolna), która wchłonęła w siebie wiele pierwiastków gimnastyki estetycznej i leczniczej. Powstała natomiast, odrębne zadania mająca, gimnastyka elity, to znaczy ludzi, którzy niejako wybrali sobie gimnastykę jako swoją specjalność, jak istnieją specjalności sportowe. Ten rodzaj gimnastyki polega głównie na podkreśleniu elementów zręczności i siły.

Rozwój techniki i stylu we wszystkich sportach spowodował powstanie specjalnej gałęzi gimnastyki sportowej. Dzisiaj każdy sportowiec pracujący z myślą o wyczynach, o osiągnięciu najwyższych wyników, musi uprawiać gimnastykę sportową, zwaną sportową zaprawą gimnastyczną, która poprzedza każdy właściwy trening sportowy, względnie jest jego niezbędnym składnikiem. Istnieje szereg takich zapraw gimnastycznych, przykrojonych do potrzeb każdego rodzaju sportu — jednakże z punktu widzenia racjonalności i harmonijności rozwoju, możnaby wielu tym zaprawom poważne postawić zarzuty.

Te wszystkie, codopiero wymienione, rodzaje gimnastyki nie rozwiązują jeszcze kwestji dostarczenia ruchu i możności ćwiczenia swego ciała wielkim masom ludzi, którzy nie są ani sportowcami, ani młodzieżą szkolną, ani wreszcie nie służą w szeregach wojskowych — ludzi pędzących przeważnie życie siedzące, pozbawione ruchu, lub ograniczonych do ruchu bardzo jednostronnego, ciągle w danem zajęciu powtarzanego. Tymczasem ruch, i to nie w postaci takiej tylko, jak przechadzka, jest koniecznością fizjologiczną, warunkującą nie już harmonijną budowę, czy prostą postawę i rozwój ciała, ale wprost prawidłowe funkcjonowanie organizmu, jest niezbędnym, a jakżeż ciągle jeszcze niedocenianym czynnikiem zachowania zdrowia.

W tym względzie ludzie nie mający możności uprawiania tego ruchu ani w żadnych klubach sportowych, czy towarzystwach gimnastycznych, najczęściej nader słabe dających gwarancje racjonalności stosowanych przez nich metod, zmuszeni są w przeważnej mierze do bezruchu. Tu przychodzi w pomoc i nabiera znaczenia gimnastyka zdrowotno-ruchowa, t. zw. mocyjna (mocja = ruch), która, jako posługująca się ruchami łatwemi, może być z wielką łatwością zastosowana jako gimnastyka domowa, uprawiana przez wszystkich. Gimnastyka domowa dzisiaj, jeśli się ją już uprawia, najczęściej posługuje się albo bezwartościowemi systemami, bardzo reklamowanemi, (np. Müllera), albo też stwarza ją sobie ożywiony wielkim dla ćwiczenia ciała zapałem osobnik, oczywiście bez żadnego naukowego kryterjum.

O tej to gimnastyce domowej, o jej zadaniach i sposobach powiemy w przyszłym artykule.

Tadeusz Biernakiewicz.



MOIŚCIEWY KOCHANI!

Telo juz ustygujom na mnie w ty redakcyji, co s wami nie gwarze, co juz musem wynokwić co nowego, a tym umolniakom dogodzić. Moze ta i będzie no cym gwarzić, bo przecie wiesna idzie, a i sićka w Polsce majom teroz no cym godać, ba o wystawie i no zlocie...

Alez tyz dało nam siustu s tom zimom, aj, dało... Nostarsi gazdowie nie bacom takie zimy... Cały świat przemarznon, a śniegu telo nasuło, coby dwók chłopa przikryło. A co ptosecków namarzlo, co biydoty seliniejakiej uświerklo, ftoby to ta zlicył... Drzewa to tak — mówie wam — trzaskały, kiedy fto z harmaty bił... Telo jeno hasnu s tego belo, co narciarze se uzili, a co sie najeździli bez całom zime — za sićkie casy se uodbili... A co narodu sie zwalćło do Zakopanego, hej, hej... I Cechy i Miemce i z Norwegije i Świedy — a i tak Bronek Cech sićkich przeseł i pirsy przijechoł! A i Stasel-Polankówna pokozała, co umié (uona sie przezywo Polanko, a woło sie uod Stasla). No i jesce i to, co piękno béła ta zima, aj, piękno... Kie telo śniegu nasuje, to całe Zokopane widzi sie, kieby jaki zacarowany świat, a góry, kieby jakie zamki biele i niebieskie i pocyrwieniałe — to ani wypedzieć nie zdole...

Ale uo cymze jo gwarze? Przeciek nie uo zimie mioł gwarzić, bo uo wieśnie... Coz, kie je jesce niema. Kie uona ta przidzie. Juz sie cłekowi ukotwiéło tele casy doma siedzieć i zaziérać, kielo tyz ta na Celzyjusie albo na Reumurze pokazuje. Juzby cas béło „hore" iś — przecie za miesiąc juz powinni na hole uowce wyganiać — a tu ani słychu uo tym...

Wielkanocne święta przesły — a wiesny jesce niema. Ciście tyz nie zabacili, moi nomilejsi, coby nasego uobycaju i tradycyje pilnować bez te święta? Bo to, wiecie, młodzi — to ta wsej letkomyśnictwa im w głowie, to ta nie stojom o to, coby uobycaju dawnego strzóc... — Co mi ta o to — gwarzi taki — co stare — to béło głupie, to nic nie płaci dzisia... My momé swój obycaj nowy, lepsi... — A wieś ty mądralo, z cegoześ ty wyrós? A wieś ty, ca bez tyk róznyk uobycajów starodawnyk — tobyś ty ani nie wiedzioł, cimeś ty jest? Co jakby nie béło gwary, stroju ludowego, uobycaju, tobyś ani nie uozeznoł, ftory je Polok, ftory Frajcuz, a ftory Talijan... Co bez tyk rózności toby całe zicie béło takie otępne, sare, coby ludzie uod frasunku a kłopotecków seleniejakich uświerkli doznaku?... Toz to i nie dziwota, co sie tak ludziska ciesom na te świątki, a zachodzom, a warzom a sprzącom, coby sie im jako uzdajało sićko... No, to i wy, chłopci, powinniście uo tyk uobycajach pamiętać: na kwietniom niedziele palme przisikować, w wielgom sobote zur topić, święcone ustroić, pisanki wymalować, a w wielgi poniedziałek wodą sie lać, jako na śmigus przistało... A harcyrze przedesićkiem musom obycaju pilnować, bo to przecie jadom i do Poznania i do Anglije i majom seleniejakie cudaki pokazywać.

Siedze se jo i medytuje uo sićkich utępak i repetak — jaz tu, co sie nie robi — przichodzi Tadek Baca i gwarzi do nas:

— No, chłopci, jedziemé na zlot i na dziembory...

— O, wiera, wiera...

— Ina wiécie, musimé sie hyrnie pokozać, coby nam nicego nie hybiało, coby sićka mówili, co my śwarne hłopci...

— O, hej, hej...

— E, wiecie, ale i dziewuchy musom s nami jechać.

— Uo dyć hej! Dobrze gwarzis.

— Bo to musimé sićkim ludziom pokozać, jako to górole i jesce starsi harcyrze śpiéwajom i jak tońcujom!

— E, damyz my im! Krzesanego!

— Zbójnickiego!

— Drobnego!

— Hej, bracia kochani — mówie jo na to — bedom sie ludziska cudować, co jaz gęby poozwiérajom. Musom uznać, co harcyrze górole ze starsik harcyrzy ze Sonca som nomorowse, nosiumniejse hłopcy i noświarniejse dziewuhy ze sićkich!

To mówie wam, kiejek zacon tońcić, a krzesać, a cifrować kirpcami po podłodze, to kieby mi dwaścia roków ubyło...

Telo płaci góralski taniec!

Hej! *Pazdur.*

Objaśnienia: ustygować = żalić się na kogo; wynokwić = wymyślić coś nowego; umolniak = natręt, nudziarz; dało siustu = „dało szkołę"; nasuło = nasypało; uświerknąć = zmarnieć; hasen = pożytek; ukotwiélo sie = znudziło się; otępny = straszny, smutny; uzdajało sie = udało się; zur topić = zwyczaj ludowy, polegający na tem, że ubiera się chochoła ze słomy, przedstawiającego żur i topi się w wodzie; seleniejaki = wszelaki; utępa = bieda; repet = kłopot; hyrny = sławny; siumny = piękny, tęgi; śwarny = zgrabny, ładny; hybiać = brakować.

W sprawie dżembori z ramienia Śląskiej Chorągwi Z. H. P., a zarazem i całego Związku, wyjechał do Londynu i Liverpoolu harcmistrz Henryk Kapiszewski, członek Redakcji naszego pisma, w celu poczynienia na miejscu przygotowań dla naszej reprezentacji dżembowej.

Skauci londyńscy otrzymali wspaniały dar, mianowicie lord Rothermere nabył w sercu Londynu wielki park skwerowy za pół miljona funtów szterl. i oddał go do dyspozycji miastu z tem, że z parku korzystać będą wyłącznie organizacje skautowe. Stało się to dlatego, że miasto postanowiło miejsce to sprzedać przedsiębiorstwom budowlanym.

Żony Beduinów.

Ach, nie sądźcie (że będę Wam pisał o żonach synów pustyni, ale gdy myślę o życiu obozowem dziewcząt, zawsze przypomina mi się zdanie pewnej osoby, wypowiedziane w tej sprawie: „moje córki nie będą przecież żonami Beduinów, więc pocóż im uczyć się żyć pod namiotami?"

Zaiste, żadna z nas nie będzie pędzić na ognistym rumaku przez rozpaloną od słońca pustynię, nie będzie rozbijać kolorowych namiotów na piaskach Sahary, nie będzie karmić długoszyjich wielbłądów. Żadna z nas nie będzie żoną Beduina — więc na co nam życie obozowe?

Aby zrozumieć istotną wartość obozów dla dziewcząt, trzeba najpierw wiedzieć, że drobne umiejętności nabywane pod płóciennym dachem nie są celem naszej pracy, że obóz — to tylko jeden z najlepszych środków do kształcenia duszy i ciała w myśl naszych ideałów.

W codziennem naszem życiu, wśród otoczenia, w którem wzrastamy od maleńkości, wszystko, co czynimy, układa się w stałe, niezmienne niemal formy; przyzwyczajamy się do naszych zajęć, które wykonywać zaczynamy prawie machinalnie, które stają się dla nas niemal nawykiem. Myśl nasza ogranicza się do pojęć potrzebnych na codzień, dusza zaczyna drzemać pozbawiona bodźca od zewnątrz.

Codzienność to nasz wróg, bo usypia naszą czujność, przytępia wrażliwość na to, co dzieje się wokół nas i przyzwyczaja do obchodzenia się raz na zawsze przyjętemi formami wszelkiej waszej działalności, szablonami — że tak to nazwę — życiowemi.

A oto jedziemy na obóz! Niemal rewolucja w życiu! Zmieniamy otoczenie, zmieniamy zajęcia. Nie pozostaje Wam nic z uświęconych codziennem dokonywaniem się form życia. Umysł musi pracować ze wzmożonym wysiłkiem, aby zwalczać nowe i nieznane dotąd przeszkody. Inteligencja musi wykazać całą swą sprawność w dostosowaniu się do nowych warunków. Dusza budzi się pod wpływem „Wielkiej Przygody", którą dla nas jest każdy, choćby tylko jakotako zorganizowany obóz.

Całe prowizorjum życia obozowego, brak wygód i ułatwień życiowych, wymaga od nas skupionej uwagi, wynalazczości i samodzielności. W obozie można tylko na sobie polegać. Nigdzie nie znajdzie tak słusznego zastosowania przysłowie „jak kto sobie pościele, tak się wyśpi", jak w obozie. Bo rzeczywiście — nikt za nas nie zrobi wygodnego łóżka, nikt nie umyje naczynia, nie zrobi porządku z rzeczami. A za to każda niedokładność w robocie mści się doraźnie. Przypalone śniadanie, źle wypchany siennik, niedokładnie okopany namiot — wszystkie te drobne — zda się — rzeczy potrafią dotkliwie dać się we znaki niesumiennej wykonawczyni.

Samodzielność, zaradność, bystrość umysłu, odwaga — oto cechy dzielnego człowieka, które w codziennem naszem życiu nie mają nieraz warunków do rozwoju, a w obozie z konieczności rozwijać się muszą.

Nieustanne, bliskie bardzo obcowanie z współtowarzyszkami, gdzie stykają się różne usposobienia, różne charaktery, czy umysłowości, — uczy współżycia z ludźmi, podporządkowania się pod wymogi ogólnego dobra kosztem własnej woli, opanowania i solidarności.

Ciągła możność kontrolowania jednostki w niecodziennych a częstokroć nieznanych sytuacjach, przy których ujawniają się wszystkie ukryte cechy usposobienia i charakteru, daje drużynowej doskonałą sposobność do wyzyskania obozu pod względem wychowawczym.

Bezustanny pobyt na świeżem powietrzu wpływa niezwykle korzystnie na rozwój fizyczny, budzi w nas zainteresowanie do życia, do wszystkiego co nas otacza, zaostrza sprawność naszych zmysłów. Bliski kontakt z przyrodą wyprowadza myśl naszą z ciasnego kręgu naszego życia, a zwraca ją ku wielkości wszechświata, budzi w nas zrozumienie dla praw rządzących naszem życiem i zbliża nas do Boga.

Życie obozowe zawiera wreszcie w sobie ognisko wieczorne, a ognisko wieczorne to chwila, w której dusza nasza rozkwita jak kwiat w promieniach słońca. Wszystko, co jest w niej małe, nędzne, ułomne przymiera i niknie, budzą się w niej za to najlepsze najgłębsze myśli i uczucia, tak wzniosłe, że prawie niedościgłe w codziennem życiu, tak piękne, że pozostają na zawsze wyryte w duszy. Przy ognisku wieczornem serca otwierają się przed każdem dobrem słowem i dają się rzeźbić w najszlachetniejsze formy, z tonami pieśni wznoszą się ku gwiazdom, by chłonąć w siebie ich blask i jasność.

Kto raz przeszedł cały trud życia obozowego, poznał cały czar ogniska wieczornego, kto raz modlił się w uniesieniu wznosząc głowę ku niebu roziskrzonemu tysiącem gwiazd — ten napewno z całych sił wykrzyknie za mną: niema to jak życie obozowe!

Baj.

Międzynarodowa Konferencja Instruktorek Skautowych w Budapeszcie w roku 1928, reprezentantki poszczególnych organizacyj w strojach narodowych.

Czy zauważyliście przedstawicielki Polski i różnicę między nimi, a innemi instruktorkami?

Zdjęcie to jest najlepszym dowodem, jaką wagę przywiązują skauci całego świata do znajomości narodowej kultury i jej właściwości.

Tegoroczny wielki zlot skautów, dżembori, odbywa się właśnie pod hasłem pokazania innym, co każdy naród wytworzył i co jego skauci z kultury tej zdołali wydobyć i przystosować do życia współczesnego.

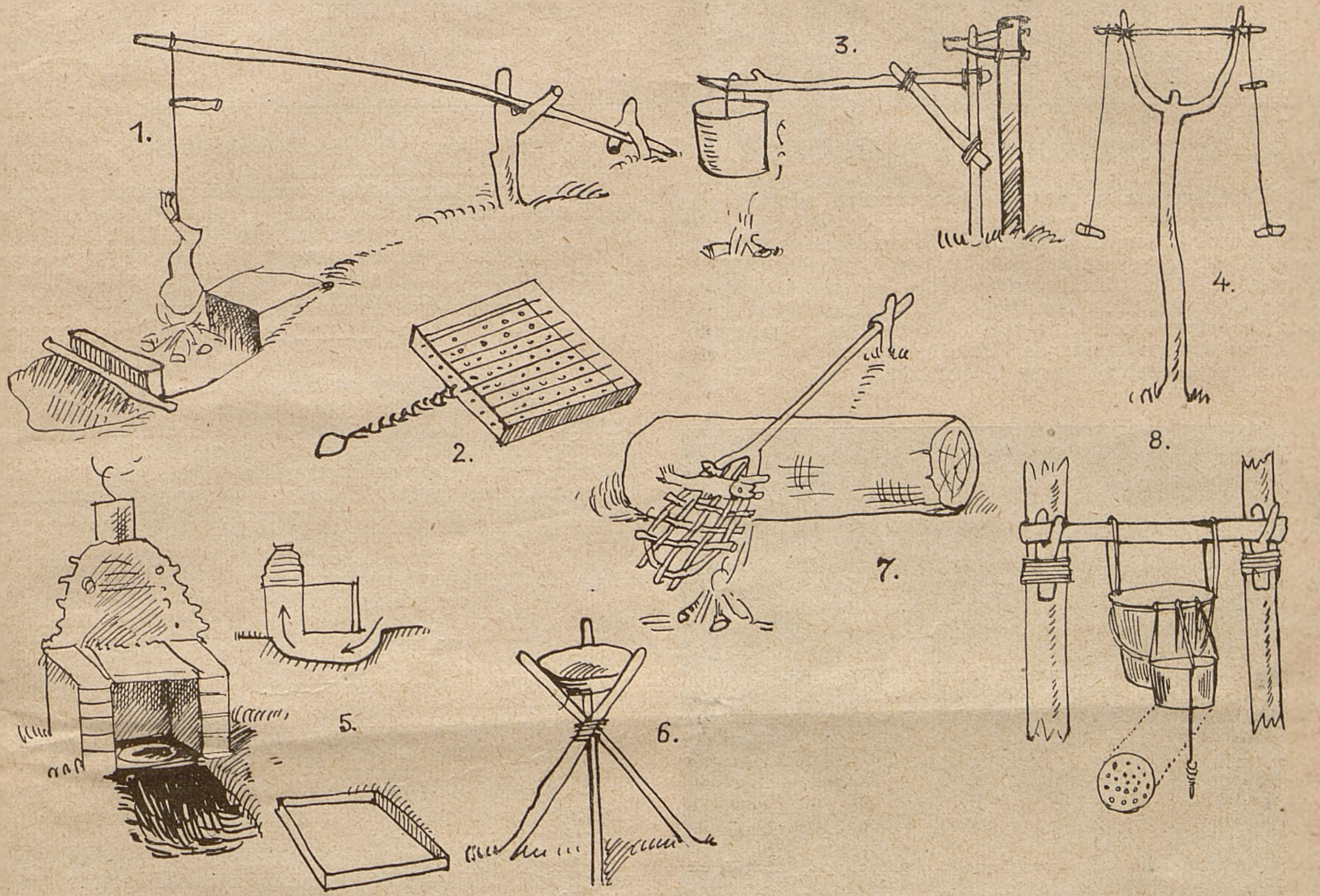


Dla umożliwienia zwiedzenia Londynu przed i po dżembori rozbite będą pod Londynem obozy, otwarte w czasie od 18—31. VII i od 13. VIII—20. VIII.

4. VIII. odbędą się w obozie dżemborowym konkursowe loty modeli aeroplanowych.

Przed obozami.

Z nastaniem wiosny zbliża się już szybko okres wycieczek i harców. Niedługo też wyjedziemy na zlot narodowy do Poznania, albo też do obozu, gdzie oprócz koniecznych wiadomości technicznych, będziemy musieli rozwinąć pomysłowość w kierunku ładnego i dobrego, a zarazem wygodnego urządzenia obozu.



Oto kilka prostych urządzeń obozowych podajemy wam za „Scout de France“.

Rys. 1 przedstawia zwykłą kuchnię polową, nadającą się na grunt nieco pochyły.

W niedużem zagłębieniu umieszczamy odpowiednio zagiętą blachę z pudełka ze sucharów. Zagięcie w formie odwróconej litery „E“ służy jako reflektor. Na drucie, na którym zawieszono drób, czy kawał mięsa, umieszczono deseczkę, dzięki której za każdym podmuchem wiatru pieczeń nasza będzie się obracać.

Rys. 3 przedstawia również małą kuchenkę, rys. 4 wieszadło z naturalnego pniaczka. Małe szczypczyki na sznurkach służyć będą do zawieszania rzeczy.

Na rys. 5 mamy większą kuchnię polową. Wykorzystujemy tu również blaszaną skrzynkę, umieszczoną między ceglami. Komin budujemy zaś z gałęzi i ziemi.

Widzimy dalej (rys. 6) trójnóg pod miednicę.

Niepraktykowane zdaje się u nas jest pieczenie ryb.

A oto tutaj mamy rysunki pewnego rodzaju rusztów. Jeden z nich (rys. 2) to krata wykonana z wieczka pudełka blaszanego z ciastek i z odpowiednio poprzeciąganych drutów; dno wieczka jest przedziurawione. Drugi z nich (rys. 7), to całkiem prosta krata upleciona poprostu z świeżych gałązek i odpowiednio umiejscowiona.

Bardzo ciekawem urządzeniem w obozie jest naszkicowany obok zaimprowizowany tusz. Do wiadra zawieszonego na 2 wysokich palach, przyczepione jest pudełko z konserw z podziurawionem dnem. Jeżeli pociągniemy za sznur, przywiązany do wiadra, wtedy woda z wiadra przelewać się będzie do pudełka z konserw i w upalne dni chłodzić się będziemy tuszem zimnej wody.

Mam wrażenie, że rzeczy te wypróbujecie, a z rezultatami podzielicie się z — »Na Tropie«.

Mm.

Z życia żeńskiego hufca harc. w Krakowie.

W tym roku pracy naszej postawiłyśmy sobie dwa zadanie, które musimy osiągnąć (hufiec jako taki, bo właściwa praca i życie — w drużynach):

1) bezwzględne bliskie i serdeczne poznanie i zżycie się drużyn całego hufca; 2) zdobycie własnego wyekwipowania polowego.

W tym celu zamierzamy szereg imprez wewnątrz i dochodowych na zewnątrz hufca.

W styczniu b. r. odbył się konkurs śpiewacki drużyn; w skład jury weszli: Przew. Z. O. Druh F. Przyjemski, b. hufcowa, obecnie kom. chor. Śl. Dhna J. Laszczkówna, kom. chor. krak. Dhna H. Braunowa i Przyboczna Dhna J. Pająkówna.

W konkursie tym nie chodziło o zawody eliminacyjne, lecz o rozbudzenie zamiłowania do śpiewu, tak ważnego czynnika w naszem życiu, oraz o wykazanie dorobku drużyn w tym kierunku. Dlatego też specjalny nacisk był położony na dobór pieśni, zwłaszcza na pieśni ludowe i staropolskie. Wyniki konkursu dodatnie; konkurs wykazał, że drużyny śpiewają chętnie i wiele (repertuar stały poszczególnych drużyn 108—140 pieśni), poziom jakościowy tych pieśni jest całkiem wysoki, a stale i umiejętnie uprawiany śpiew w drużynie, może doprowadzić do pewnej, nawet dość wysokiej wyżyny artystycznej. Największą ilość punktów uzyskała w konkursie drużyna I, następnie VIII i VI.

Następny konkurs odbędzie się w jesieni b. r. Zeszłoroczny kurs dla zastępowych przemieniłyśmy na drużynę zastępowych całego hufca. Drużyna liczy 56 członków na poziomie st. pionierki.

Zbiórki odbywają się co 2 tyg., na których oprócz gawęd metodycznych co do prowadzenia pracy w zastę-

pie i ćwiczeń, przygotowujemy wspólnie sprawności, np. teraz sprawność terenoznawczyni. W bieżącym roku 5 drużyn naszych miało kolonje na terenie K. O. P-u. Drużyny te utrzymują kontakt ze Stanicami, które opiekowały się niemi, np. wysłały na Gwiazdkę każdej Stanicy, dużą paczkę złożoną z książek, czasopism, ciepłych rękawic, szalików i t. p., słodyczy i kilku gier towarzyskich własnej roboty.

Nadto hufiec pomaga zawsze bardzo wydatnie i przy nieharcerskich imprezach i wysyłkach świąt. dla żołnierzy K. O. P-u.

Co do imprez dochodowych, to zamierzamy wziąć jak najczynniejszy udział w tygodniu harc. organizowanym przez Z. O.

W niedzielę 17. III. urządziłyśmy kiermasz, złożony z loterji fantowej i szeregu niespodzianek układu i wykonania drużyn.

Od roku istnieje przy hufcu referat kwaterunkowy, który zajmuje się wyszukiwaniem noclegów, posiłków oraz częściowo oprowadzaniem wycieczek harcerskich. Jeżeli chcecie korzystać z naszej pomocy zgłaszajcie się (ale wcześnie, z dokładnem podaniem ilości osób, poziomu i czasu pobytu) pod adresem: Kom. żeńsk. hufca harc. Kraków, Franciszkańska 4.

J. Orłowiczówna.

Co słychać w Harcerstwie?

Konferencja w sprawie pracy drużyn młodzieży zarobkującej odbyła się w dn. 6 i 7. IV. w Niwce pod Mysłowicami (Chor. Śl.). Zjechali się delegaci szeregu Komend i liczni przedstawiciele drużyn ze Śląska, Pabjanic, Zagłębia i t. d. Obrady prowadził w imieniu Dh. Naczelnika G. K. M., druh Hm. Rzpl. Maresz, referaty wygłosili dh. Zawodzki o potrzebie starsz. harcerstwa i o pracy społecznej drużyn starszych, dh. Ryszkowski o metodach, organizacji i celach pracy drużyn (obaj z G. K. M.), dh.



Rzeźba prof. K. Laszczki

Twardowski na kogucie

Maresz odczytał nadesłany referat dh. Sedlaczka o pracy st. harcerzy w Anglji, uzupełniając go swemi głębokiemi i trafnemi spostrzeżeniami z życia naszych drużyn.

Ze sprawozdań wyróżniały się ogólne, ujmujące całość pracy drużyn starszych, sprawozdanie dh. Lowińskiego, opiekuna, a w ostatnich dwu latach i drużynowego, drużyny w Niwce, istotnie wysoko postawionej.

Żałować tylko wypada, że do wygłoszenia referatów nie zaproszono innych jeszcze instruktorów, bezpośrednio w drużynach starszych pracujących i mogących się podzielić swemi doświadczeniami.

Druha Dr. Krupińskiego uprzejmie prosimy, by z Czytelnikami „Na Tropie" zechciał się podzielić swemi uwagami i przedstawić pracę drużyny niweckiej.

W krótkiej notatce nie można opisać przebiegu całego zjazdu, podnieść trzeba tylko serdeczny nastrój, do wywołania którego przyczyniła się gościnność gospodarzy.

— **Dworek Cisowy** w dniu 19. III., dzięki zastępowi „wiewiórek" i „jaskółek", święcił imieniny Marszałka Piłsudskiego. Po Mszy św. i całym dniu uroczyście wolnym od lekcyj nastąpił piękny odczyt Anuli, deklamacje Zosi, Krzyśka grała, chór dziewczynek śpiewał legjonowe piosenki, wkońcu wszystkie dzieci odegrały „Wilczysko", opowiadanie Bujno-Arctowej, przerobione przez siebie na scenę. Największe jednak powodzenie miał pono „hocek-klocek" o tem „gdy sen zmorzył Piotrusia z aniołkami husia siusia leguny tańczyły".

A gdy dzieci poszły spać... „Stare Pudła" poszły na raut do Dhny Olgi. Rodzaj męski reprezentowały z nadzwyczajnem powodzeniem Germaine, Jagoda i Kokosia, a nawet biedna Vera (Angielka) musiała rżnąć kujawiaka i inne polskie tańce. (Jaka szkoda, że nas tam nie było! — westchnienie całej Redakcji!)

— **W Płocku** Kda Chor. w dn. 4—12. V. organizuje II. okręgowe zawody strzeleckie dla harcerzy, szkół średnich, p. w., pań i panów.

— **Zjazdy Oddziałów:** krakowskiego odbędzie się 28. IV., śląskiego 5. V., połączony z odprawą starszyzny męskiej i drużynowych Chor. Ż.

— **Walny Zjazd Harcerstwa Pol. w Czechosłowacji** odbył się 14. IV. — Liczba harcerzy wzrosła o 300. Wzmocniła się też więźba organizacyjna tak, że drużyny tamt. przedstawiają się i rozwijają wspaniale. Zobaczymy je na zlocie w Poznaniu, dokąd wybierają się też harcerki. Z Polski na zjazd przybył dh. Kapiszewski, który w imieniu naszego pisma złożył zjazdowi życzenia i zapewnił, że jak wr. ub. drużyny tamt. otrzymywać będą „Na Tropie" bezpłatnie.

— **Kda M. Chor. Śl.** zorganizowała pięciodniowy kurs nauczycielski.

— **W jednem z miast amerykańskich** zginął 70-letni staruszek. Kiedy poszukiwania policji nie dały rezultatu, zgłosili się skauci i po 12 godzinach odszukali starca, leżącego bez przytomności w niedalekim lasku.

Powiatowy Komitet Zlotowy zawiązał się w N. Sączu z inicjatywy K. P. H.

Starsze Harcerstwo w N. Sączu. W okresie świąt wielkanocnych odbyło się zebranie drużyny starszo-harcerskiej, skupiającej — jak wiadomo — młodzież S. H. (przeważnie nauczycielstwo) rozrzuconą po całej Polsce. Głównym przedmiotem obrad był zlot narodowy, oraz jamboree. Drużyna przygotowuje na zlot, ew. i na dżembori „grupę podhalańską" z około 8 harcerek i 8 harcerzy. Oprócz tego przygotowuje żeński S. H. obóz wędrowny po Pomorzu na lipiec.

Drużyna I im. St. Wilkiewicza w Starym Sączu, zawiązana w maju ub. r. rozwija się wcale pomyślnie. Zapał do pracy ogromny, toteż drużyna organizuje co jakiś czas imprezę dochodową. 6. I. odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru drużyny, 8. I. odegrali harcerze przerobioną na scenę „Grażynę". Pracą kieruje dh Marjan Mikuta.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

24

ZAGADKI.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 1—2.

1. Zagadka matematyczna.

Do 425 widokówek, mających być nagrodami dopożyczamy 25 widokówek; mamy więc 450 widokówek. Z tego $\frac{1}{2}$ = 225 widokówek; są one pierwszą nagrodą. $\frac{1}{3}$ = 150 widokówek — to druga nagroda; $\frac{1}{9}$ = 50 widokówek — to trzecia nagroda. Razem 425 widokówek — pozostałe więc 25 widokówek zwracamy, jako pożyczone.

2. Szarada.

To upragniona przez wszystkich: n o w i n a.

3. Logogryf przyrodniczy:

R a **R** ó g
S r **o** k a
Ś w i **s** t a k
W ę g **o** r z e
R e **m** i s
S s **a** k i
S o **k** ó ł

4. Zagadka.

a) Kancelista, *b)* cukiernik, *c)* muszkieter, *d)* krawczyni, *e)* minister skarbu.

5. Zadanie geograficzne.

R O D A N
a d o r e
b r n n w
a a o a

6. Łamigłówka.

1)	2)	3)	4)
K-ir	A-ar	D-an	D-ava
L-ir	B-ar	J-an	J-awa
M-ir	C-ar	L-an	K-awa
S-ir	D-ar	P-an	L-awa
W-ir	J-ar	L-an	L-awa
	L-ar	T-an	N-awa
	P-ar	Z-an	R-awa
	W-ar		
	Z-ar		

7. Zagadka.

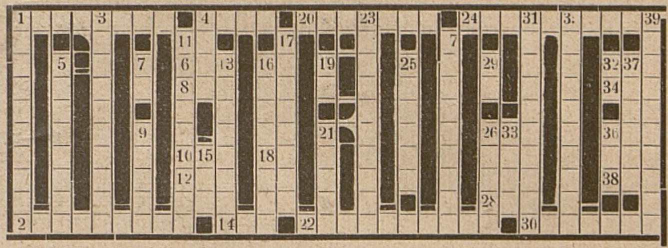
B A D E N P O W E L L
a r y g i a n r d i i
n k s o n r g ó e r n
k a k n a k i g n a a

8. *a)* Kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one.
b) Gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść.
c) Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
d) Pierwsze koty za płoty.
e) Kruk krukowi oka nie wykole.
f) Przez posły wilk nie utyje.

Nowe zagadki.

1. Krzyżówka.

Ułożył S. S. (Poznań).



Poziomo:

1. Miesiąc.
2. Vis à vis.
4. Marka samochodu.
6. Podłoże szyn.
8. Łącznik.
10. Przyprawa potraw.
12. Inaczej placze.
14. Ryba.
16. Miara powierzchni.
18. Nuta.
20. Autor »Ziemi Obiecanej«.
22. Wyznawca religji.
24. Państwo w Europie.
26. Ptak.
28. Gatunek papugi.
30. Inaczej wypływać.
32. Część doby.
34. Okres czasu (wspak).
36. Inaczej okowy w 2 przyp.
38. Inaczej ukrop (wspak).

Pionowo:

1. Cesarz.
3. Inaczej zegar.
4. Moneta grecka.
5. Przyrząd astronomiczny.
7. Rzeka w Rosji Azjat.
9. Pióro Rzymian.
11. Imię męskie.
13. Inaczej odrodzenie.
15. Część twarzy.
16. Naczynie dla ryb.
17. Miejsce hańby.
19. Część wozu.
21. Dawna moneta polska.
23. Służący do mszy św.
25. Największe jezioro w Polsce.
26. Rozbójnik morski.
27. Inaczej odnowienie.
29. Mieszkanie pszczół.
31. Sojusz trzech mężów.
32. Przyimek.
33. Rodzaj gamy.
35. Inaczej nierozumny.
36. Inicjały Polskiej Agencji Reklamy.
37. Bohaterowie Lwowa.
39. Mówić z naciskiem.

L e k a r z: — Czy Pan stosował się do mej rady i pił Pan gorącą wodę godzinę przed śniadaniem.

P a c j e n t: — Robiłem, co mogłem, Panie doktorze, ale nie mogłem pić dłużej, jak przez dziesięć minut.

L e k a r z: — Tak, proszę Pana, te bóle w lewej nodze wywołała starość.

P a c j e n t: — Ależ, Panie doktorze, moja prawa noga jest tak samo stara, jak lewa, a zupełnie mi nie dolega.

W porę:

— Dopiero szósta, a prosiłem cię, byś przyszedł po kolacji.

— Ja też zjadłem kolację o piątej.

KĄCIK HUMORU.

DOSKONAŁY POMYSŁ.

Wydawca pewnej gazetki skautowej podał projekt, aby autorzy, zasilający kącik humoru, nadsyłali swoje utwory na specjalnie przeźroczystym papierze, by je uczynić jaśniejszemi.

S ł u ż ą c y: — Lekarz przyszedł, proszę pana.

R o z t a r g n i o n y c h o r y: — Powiedz, mu, że nie mogę go przyjąć, bo leżę chory.

ROZMAITOŚCI.

Prawdziwą osobliwość układu słów, nie mającą podobnej sobie, stanowi następujący tekst:

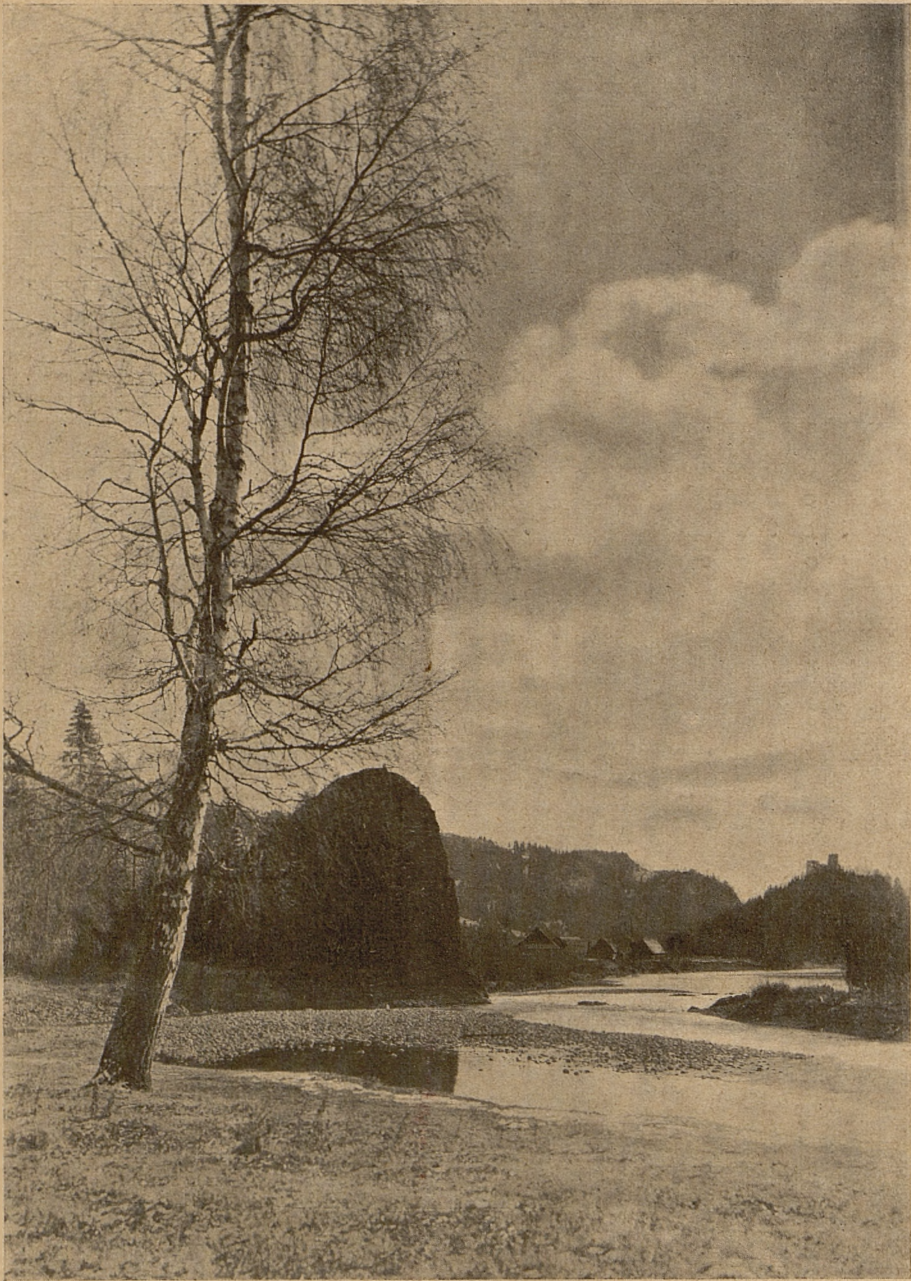
te te ro ro ma ma nu nu da da te te la la te te.

Zdanie to jest ułożone w języku łac. Według podania geneza jego jest taka: któryś najeźdźca Rzymu, Brennus, czy inny, rozpoczynając oblęganie miasta miał rzucić tę pogróżkę.

Zdanie to podzielone na słowa brzmi:

Te tero Roma, manu nuda, date tela, latete!

(Po polsku: „Ciebie Rzymie zniszczę gołą ręką. Dajcie pociski, kryjcie się!)



Fot. Wł. Miedniak.

Widok na Pieniny i zamek w Niedzicy.

Czy wszyscy Twoi znajomi znają „Na Tropie"! Czy odnowiłeś już prenumeratę na rok 1929!

Zwracając się do Redakcji, pisz wyraźnie, tylko na jednej stronie i zostaw margines.

„Na Tropie" wychodzi 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Mickiewicza 10. — Konto w P. K. O. 305.330

Oddziały Redakcji: Kraków, Szewska 12, I p. „Len". — Warszawa, Chmielna 26, Tel. 402—33.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·— zł.